ROK II. Nr. 23 (72) Nakład 30.000 egzemplarzy. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 8 czerwca 1930 r.

7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



W DZIEŃ ZIELONYCH ŚWIĄTEK (Photoplat)

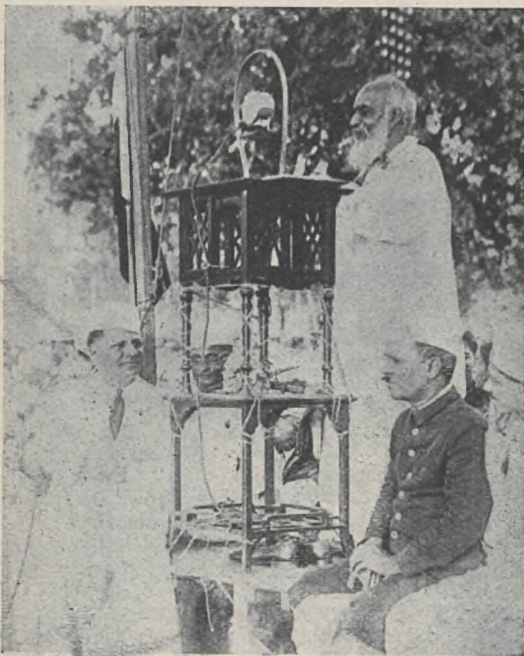
W kotle zbuntowanych Indji



Pani Sarojini Naidu, poetka i wybitna działaczka polityczna, zastępowała chwilowo Gandhiego, zachęcając do wytrwania przeciw rządowi angielskiemu. Jako charakterystyczny szczegół z życia dzielnej kobiety musimy nadmienić, iż wychowana została w Anglji i pierwsze swe utwory drukowała w języku angielskim. Nie długo dzierżyła władzę, przekazaną jej przez wodza narodu, gdyż po paru tygodniach zaledwie została uwięziona.

Podczas gdy w różnych miastach Indji wypadki przybierają coraz ostrzejszą formę, jak np. w Rangoonie, gdzie w wyniku ostatnich zajść poległo 81 osób, ranionych zaś zostało 772, najrozmaitsze pogłoski krążą dookoła uregulowania stosunków z rebelizantami. Oto sekretarz Centralnego Związku Muzułmańskiego, wystąpił z propozycją, aby na nowo spróbowano nawiązać kontakt z Gandhim, któryby jedynie przy poparciu sfer muzułmańskich mógł opanować sytuację. Dochodzą nas skądinąd wiadomości, iż w Najpurze, w Suracie i w Alahabadzie aresztowano szereg działaczów publicznych, coby świadczyło o tem, że Anglicy w dalszym ciągu okazują opór przeciw wszelkim zakusom ze strony nacjonalistów.

Opinja publiczna w Londynie jest coraz bardziej zaniepokojona temi wypadkami.



Po aresztowaniu pani Sarojini Naidu przewódcą Hindusów został V. J. Patel.

STANISŁAW BESSER.

O ludziach, podludziach i nadludziach

Gawęda filozoficzna

Człowiek jest mikrokosmosem, t. zn., małym wszechświatem, odbiciem całości wszechświata w miniaturze. Wszystkie koleje życia makrokosmosu (t. j. tego wszystkiego, co się odbywa we wszechświecie), odzwierciadlają się w duszy pojedyńczego człowieka. Na podstawie tego odblasku, odzwierciadlenia, niejako cienia wszechświata, poznajemy, wzgl. odgadujemy istotę życia i w doraźny sposób rozwiązujemy jego najgłębsze zagadki.

Zagadki te rozwiązują ludzie, a właściwie trzy gatunki ludżi: podludzie, ludzie i nadludzie. W wielkiej ewolucji światowej, w wielkiem postępowem, stopniowem rozwiązywaniu zagadek życia biorą udział te rozmaite gatunki ludzi.

Znaczyłoby to, że zarówno najniższy jak i najwyższy gatunek człowieka potrzebny jest na świecie. Takie antytezy rozmnożone są w całej przyrodzie. Dzień i noc, dzień słoneczny i pogoda słotna, dobro i zło, lato i zima i t. d. — to są wszystko rozmaite farby, nałożone przez Stwórcę na obraz wszechprzyrody.

Podczłowiek żył setki tysięcy lat temu, kiedy z wyglądu był podobny do małpy. Ale istnieje i współcześnie podczłowieczeństwo, istnieją i dzisiaj ludzie-małpy, ludzie-zwierzęta. Możemy tedy pod „podczłowiekiem" rozumieć formę biologiczną, która poprzedziła powstanie człowieka; taki podczłowiek zawierał więc w sobie pierwiastki dodatnie, był nawet, jako ówczesny „podczłowiek" wogóle typem dodatnim. Możemy jednak i pod „podczłowiekiem" rozumieć typ współczesnego żyjącego człowieka niższego gatunku, do którego należą zbrodniarze, oszuści, kłamcy i degeneraci różnego rodzaju. Ci ostatni są mniej wartościowi od podczłowieka z przed setek tysięcy lat, w którym jednak tliła iskra Boża, gdyż z niego rozwinął się potem człowiek. Nazywamy go też „człowiekiem pierwotnym".

Jest to zasadniczą antytezą w dziele Stwórcy, w obrazie wszechprzyrody, że, wyłoniwszyj ją ze Siebie, rzucił przed Siebie ziarna najszlachetniejsze, które miały potem kiełkować i wydać ludzi, wzgl. nadludzi. Jednocześnie — widzimy to wszak — niektóre ziarna jakby wcale nie kiełkowały, jakby były zapowiedzią wyrośnięcia chwastów — podludzi. Jak długo będzie istnieć człowiek, tak długo stnieć będzie wraz podczłowiek. Powinniśmy to zrozumieć tak: Stwórca dlatego tak uczynił, że jest Największym Artystą; że to, co jest przyrodzone i przyrodnicze, nie może już posiadać walorów bezwzględnej boskości. To, co jest stworzone przez Boga, musi być niższe od Niego.

A czemże są w obrazie przyrody zwierzęta? Weininger i Bolesław Prus pięknie i głęboko rozumieją istotę zwierzęctwa; rozumieją je ze stanowiska symbolicznego uwidomienia i uzmysłowienia człowiekowi, czem on jest i czem będzie, wzgl. czem może być.

„Alles ist nur ein Gleichnis" powiedział w „Fauście" Goethe; wszystko jest jeno parabolą, podobieństwem analogją, obrazem ,symbolem. — Według Weiningera np. każda z widzialnych form zwierzęcych może znaleźć swój odpowiednik jako cecha w duszy człowieka. Mówimy o ludziach, że są „osłami", „świniami", albo też „orłami", „lwami" i t. p. Nadto interpretuje jeszcze Weininger symbolicznie przyrodę w ten sposób, że np. koń, ze swemi wielkiemi oczyma jest dla niego wcieleniem szaleństwa, obłędu i t. p.

Bolesław Prus zaś w „Lalce" jeszcze przed wystąpieniem Weiningera w oryginalny sposób porównywał dusze ludzi do zwierząt. Jedna z figur tej powieści rzuca myśl taką: „W tej jednej formie (w człowieku) odkryłem kilkadziesiąt typów zwierzęcych, począwszy od ostrygi i glisty, skończywszy na sowie i tygrysie. Więcej powiem, odkryłem mieszańce tych typów: skrzydlate tygrysy, węże z psiemi głowami, sokoły w żółwich skorupach, co zresztą już przeczuła fantazja genjalnych poetów. I dopiero wśród całej tej menażerji bydląt albo potworów, gdzieniegdzie odnajduję prawdziwego człowieka istotę z rozumem, sercem i energją".

Prus więc uważa, że istotnych ludzi, odpowiadających wewnętrznie swej widzialnej zewnętrznej formie biologicznej, jest bardzo mało, że przeważają ludzie-zwierzęta. Oni to są właśnie podludźmi, niższym gatunkiem człowieka. Nie będziemy się tutaj wdawali w rozważania: czy podczłowieka można uszlachetnić, jakie są po temu odpowiednie środki, kiedy to mogłoby nastąpić i t. d. Logiczne będzie wręcz orzec, że podczłowiek — zawsze podczłowiekiem pozostanie. „I w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu". Zapewne. Nie bądźmy jednak pesymistami. Nieco okrzesać może się da w przyszłości i podczłowiek... Chcąc bowiem być ścisłym, należałoby zanalizować rozmaite skądinąd typy podludzi, w ich świecie są niewątpliwie znowu gatunki podpodludzi, podludzi i t. p.

A nadczłowiek? Czem jest, wzgl. będzie? Właściwie, do nadludzi należałoby zaliczyć wszystkich wielkich reformatorów religijnych, proroków, wielkich poetów, niezwykłych wynalazców, pierwszorzędnych wodzów i t. d. Kto jest człowiekiem (nie podczłowiekiem!), posiada potężną wolę i umysł — może zapomocą swych czynów, — a istnieją i duchowe czyny, — zbliżyć się ku nadczłowieczeństwu istnieje nawet problem człowieka-zwierzęcia i człowieka-Boga. T. j., o ile człowiek może paść nisko i zezwierzęcać i o ile może się wznieść wysoko — aż do uczynienia siebie świętym, przepoić swą duszę boskością. Problemem tym zajął się jeden z myślicieli rosyjskich.

Wyraz „nadczłowiek" był modny wówczas, kiedy był modny Nietsche, który w swem przepięknem dziele o Zaratustrze głosił takie słowa: „Ja was uczę nadczłowieczeństwa. Człowiek jest czemś, co przezwyciężonem być winno". Nietschemu chodziło poprostu o intensywne i istotne doskonalenie się wewnętrzne. Już tem samem, że wznosimy się ponad człowieka przeciętnego, stajemy się jakgdyby nadludźmi. Wyraz „nadczłowiek" nie jest bynajmniej dopiero wprowadzony do słownictwa przez Nietschego. Pierwszym użył go w „Fauście" Goethe.

Ciekawe, że również znakomity współczesny filozof francuski Bergson, posiłkuje się tym wyrazem w swem głównem dziele. Mówi on mianowicie o nadludziach, którzy prawdopodobnie zamieszkują ew. inne planety. Możemy — powiada Bergson — wyobrazić sobie inne światy, na których mieszkają ludzie o potężniejszych i znacznie więcej skomplikowanych zwojach mózgowych, niż nasze, możemy wyobrazić sobie ludzi o znacznie potężniejszych umysłach, niż nasze, ludzi, którzy stworzyli też na swych światach o wiele potężniejszą kulturę niż nasza. To byliby, w porównaniu z nami, nadludzie.

MARCELLA HALICZ

TRAGEDJA MARJI ORSKIEJ

(Korespondencja własna z Berlina)



Marja Orska

Marja Orska, jedna z najwybitniejszych aktorek scen niemieckich, popełniła samobójstwo, zażywając wielką ilość weronalu. Życie tej fascynującej kobiety, pełne tryumfów scenicznych i niecodziennych sensacyjnych przygód, skończyło się na zimnem łóżku szpitalnem, wśród białych martwych ścian domu cierpienia...

I najtragiczniejszym momentem tego dramatu jest fakt, że ona to sama podkopała, stargała, zniszczyła sobie życie...

Ciekawą jest przedewszystkiem karjera aktorska tej niezwykłej kobiety. Pochodzenia jej nie można dokładnie określić; jedni utrzymywali, że urodziła się ona w Nikołajewie, inni, że w Rydze, w Berlinie nazywano ją czasami „die Russin", czasami „die Polin" (Niemcy nie rozróżniają tego tak dokładnie!!). Mówiła ona w każdym razie z bardzo silnym cudzoziemskim akcentem, lecz ja osobiście miałam ją zawsze w podejrzeniu, że mogłaby już doskonale i bez akcentu mówić, ale że czyni to ze względów „popularności" i oryginalności.

A była ona rzeczywiście przez lata całe najpopularniejszą aktorką berlińską. Podkreślam: berlińską, a nie niemiecką, gdyż uważam to wogóle za przypadek, że wstąpiła ona akurat na scenę niemiecką; jako artystka dramatyczna par excellence miałaby ona wszędzie to samo powodzenie. Po jej sensacyjnym debjucie w Paryżu w teatrze Renaissance, teatr ten nazwano zaraz „Theatre Orska" i Paryżanie, zachwyceni jej grą, dokładali wszelkich starań, by ją pozyskać na zawsze. Ale jedna nieprzyjazna krytyka jakiegoś bulwarowego pisemka wystarczyła, by doprowadzić ją do wybuchów wściekłości i do natychmiastowego opuszczenia „niewdzięcznego" miasta.

Tu, w Berlinie, nie mogła się uskarżać na brak uznania i sympatji. Przytem trudno powiedzieć, czem zyskała większy rozgłos, czy jej doprawdy wysokim artyzmem i wirtuozowską grą, czy też głośnemi aferami, których była bohaterką. Jej ulubioną rolą była Lulu w sztuce Wedekinda „Erdgeist" — lecz rolę tą grała ona nietylko na scenie, ale i w życiu. Pojedynki, samobójstwa doszczętnie przez nią zrujnowanych lub beznadziejnie w niej zakochanych mężczyzn, niebywałe klejnoty i sensacyjne podróże — wszystko to podnosiło jej popularność, otaczając tajemniczą aureolą tę genjalną artystkę i „grande amoureuse"...

Jednym z jej wielkich tryumfów w życiu prywatnem, był jej ślub z baronem von Bleichröder, spadkobiercą jednego z największych domów bankowych w Niemczech. Teraz dopiero zaczęła ona grać i w tak zwanem „towarzystwie" główną rolę, jednocześnie zjednywa sobie mistrzowska kreacją wielkich ról w sztukach Strindberga i Wedekinda coraz liczniejsze zastępy wielbicieli jej talentu. Gdzie tylko ukazywało się na ulicach białe auto „baronowej" Orskiej, tam natychmiast tworzyły się grupki ludzi, chcących pochwycić choć jeden uśmiech słynnej i pięknej aktorki.

Ekscentryczne jej wybryki datują się dopiero od czasów inflacji, której ofiara padła i ta nieprzeciętnie inteligentna i utalentowana artystka. W Berlinie szerzyła się wtedy zastraszająco moda zażywania kokainy i morfiny, powstał cały szereg klubów nocnych, gdzie oprócz gry hazardowej i „tańców piękności", główną atrakcją byli handlarze tych okropnych trucizn.

Orska przyzwyczaiła się do tego stopnia do kokainy, że była przekonana, że nie zażywszy znacznej dawki, nie mogłaby wystąpić na scenie. Gra jej była też w tym czasie dziwnie podniecającą, rozedrgane jej nerwy porywały publiczność, zahypnotyzowaną spojrzeniem jej przepastnych czarnych oczu. Grała ona wtedy głównie lekkie komedje Louis Verneuil'a, „Kuzynkę z Warszawy" i „Karuzelę" i święciła w tych sztukach niesłychane tryumfy. Lecz kokaina, zażywana w coraz to większych ilościach, przestała wreszcie działać i Orska w poszukiwaniu silniejszych narkotyków zaczyna wstrzykiwać morfinę.

Przed pięcioma laty, podczas ostatnich jej występów gościnnych, wstrzykiwała ona aż do dwudziestu razy dziennie morfinę do udręczonego organizmu i jej piękne niegdyś ciało, wychudłe i pokłute, zeszpecone było brzydkiemi wyrzutami.

Lecz nietylko zgwałcony organizm — i prywatne życie pięknej aktorki chyli się ku upadkowi. Trawiona zabójczym jadem, podkopującym jej zdrowie, zdenerwowana aż do wybuchów szału, zrywa kontrakty, przerywa z błahych powodów występy gościnne, maltretuje swe otoczenie. Baron Hans von Bleichröder rozwodzi się z nią wreszcie i wtedy to zaczyna się sensacyjny proces o zwrot bezcennego naszyjnika pereł, ofiarowanego jej niegdyś jako prezent ślubny. Orska nie chce o tem słyszeć, rodzina młodego barona oddaje go pod kuratelę, żądając napróżno zwrotu rodzinnych klejnotów. Proces ten wyczerpuje ostatnie siły nieszczęśliwej aktorki, obrona jej pereł staje się u niej manją prześladowczą i gdy raz podczas występu w Wiedniu naszyjnik rozrywa się nagle na scenie, Orska dostaje ataku nerwowego, każe spuścić kurtynę i dopiero, gdy wszystkie perły pozbierano z ziemi, gra dalej.

Rodzina jej wlokła ją z jednego sanatorjum do drugiego, lecz wszystkie kuracje spełzały na niczem, gdyż Orska ledwo uzdrowiona, umiała zmylić czujność swego otoczenia i, otrzymawszy morfinę za pomocą sfałszowanych recept, rzucała się z powrotem w zdradliwe objęcia tego nienasyconego demona... Przez pewien czas zamknięto ją nawet w domu dla obłąkanych, gdyż straszliwe napady furii stały się poprostu niebezpieczeństwem dla jej najbliższych.

Ostatnim rozdziałem tragedji tej niezwykłej kobiety był pobyt w sanatorjum w Wiedniu, gdzie udało się wreszcie przeprowadzić odpowiednią kurację, z jakiem takiem powodzeniem. Lecz pewnego dnia Orska opuściła bez pozwolenia doktora zakład leczniczy, udając się do hotelu, w którym mieszkała wraz z panną do towarzystwa. W tajemnicy wystarała się o większą dawkę weronalu i napozór spokojna, udała się na spoczynek, mówiąc: „pragnę nareszcie wypocząć..." To były ostatnie jej słowa.

Ostatniem jej życzeniem było, by po śmierci pięknie ją ubrać i uszminkować jej twarz, jakby do wielkiego występu na scenie — i faktycznie przed jej trumną defilowała do głębi przejęta publiczność wiedeńska, podziwiając wielką artystkę i nieszczęśliwą kobietę w ostatniej jej roli...

Gdy kometa się zbliża do ziemi...

Nowa kometa, kryjąca się pod nic nie mówiącym pseudonimem „1930 d", najwyraźniej spada na nas. Już w najbliższych dniach oba ciała niebieskie wyminą się w bardzo nieznacznej odległości, lecz jeszcze i tym razem „zderzenie" nie jest przewidziane. Zmokniemy tylko prawdopodobnie od wspaniałego deszczu gwiazd spadających, który spadnie na nasz glob podczas pierwszych dni czerwca.

Ale — czy będą to tylko drobne ułamki materji kosmicznej, dające, na skutek tarcia o atmosferę, efektowne zjawisko smug świetlnych? A może kometa będzie łaskawsza i obrzuci nas większemi meteorytami, które wzbogacą nasze muzea jakimś nowym, nieznanym na ziemi minerałem?

A może ziszczą się marzenia fantastów, awanturników, czy samobójców i runą na nas potężne kolosy wielkości turni tatarzańskich, przed któremi nie potrafi już osłonić się nasza poczciwa atmosfera?...

Gdyby ten ostatni wypadek miał zajść, ludność części globu, narażonego na niebezpieczeństwo, musiałaby w terminie, dokładnie określonym przez astronomów, schronić się na drugą półkulę, by tam przeczekać krytyczny moment.

Jeżeli zaś droga komety uległaby jeszcze w ostatniej chwili jakimś niespodziewanym perturbacjom i zbliżenie jej jądra zwiększyłoby się — to moglibyśmy przeżyć rodzaj wojny gazowej. (Niedarmo kometa została odkryta w Niemczech!) Jądro jej, bogate zazwyczaj w cjan i kwas węglowy, wytrułoby nas niezawodnie.

W każdym bądź razie, ludzkość zawsze z niepokojem i dużą emocją śledzi drogi komet na niebie. Jest to, rzec można, jedyny ewenement kosmiczny, który potrafi oczy człowieka, tak uparcie wbite w ziemię, zwrócić do góry i oderwać od spraw codziennych. Nie łudźmy się jednak, jest to bowiem tylko troska jedna więcej o bezpieczeństwo istnienia tych właśnie spraw.

Ale pocieszmy się my — istoty ziemskie — że wszystko to jest tylko pozorem. Bowiem niema bardziej niewolniczego istnienia, jak właśnie istnienie tej awanturnicy niebieskiej. Niema nic bardziej uległego, jak jej droga, pozornie tak lekkomyślna i dowolna i niema nic bardziej nietrwałego, jak jej świetność.

Wspaniały warkocz jest tylko dowodem jej rozkładu. Złożony z gazów rozrzedzonych, wydobywających się z jądra komety — rozprasza się bezpowrotnie w przestrzeni. I choć potrafi osiągnąć zawrotną długość (jak bywały wypadki) 150 miljonów klm., to jednak, jak obliczył jeden z uczonych, warkocz ten tak jest rzadki, że możnaby go zamknąć do ręcznej walizki, a po skropleniu zabutelkować do flakona.

Podobnie głowa komety, w miarę zbliżania się do słońca, rozrasta się nadmiernie, puchnie pod wpływem jego przyciągania. Zaobserwowano to na komecie z r. 1811 (opisywanej przez Mickiewicza w „Panu Tadeuszu"), która przewyższała rozmiarami słońce. Lecz zazwyczaj jest to tylko bezpośrednim momentem jej rozpadania. Poszczególne części, oderwawszy się od całości, mkną odtąd po zmienionych orbitach, rozrzucając bezładnie materję wzdłuż swej drogi.

Bywa i tak, że gdy siły działające z zewnątrz dostatecznie zdeformują jej drogę, to kometa raz na zawsze zostaje wygnana z danego systemu słonecznego i musi wędrować na exilium w dalekie przestrzenie międzygwiezdne.

Jej mała masa, nie pozwala oprzeć się przyciągającej sile planet, które zmieniają jej bieg, zmuszając do posuwania się po nowej drodze. Nie mając atmosfery, pozbawiona jest niejako osłony, któraby ją chroniła przed rabunkiem. I dlatego, gdy przejście komety w pobliżu planet kończy się dla niej zazwyczaj katastrofą, to dla planet bywa zjawiskiem najczęściej zupełnie niegroźnem. Tak np. kometa perjodyczna Lexell'a, schwytana przez planetę Jowisza w r. 1767, przeszła w r. 1779 przez system księżyców tej planety, nie zmieniając w najmniejszym stopniu elementów ich orbit. Przeszła ona również bardzo blisko naszej ziemi, bez żadnych najmniejszych skutków. Ewentualny deszcz meteorów, czy nawał meteorów, nie przestrasza Ziemi, która chwyta przeciętnie 150 i więcej — miljonów tych ciał w ciągu doby. A ilość materji, doprowadzanej w ten sposób na nasz glob, wynosi wcale pokaźną ilość, bo 500 tonn rocznie.

Urońmy zatem łezkę nad bezsilnością komety, nad jej smutnym losem i pocieszmy się, że zapewne i tym razem nie oberwiemy guza. Za to Ziemia, mimo wszystko, będzie miała minę małej zapadłej stacyjki kolejowej, ominiętej przez wspaniały pośpieszny pociąg — w tym wypadku transkosmiczny.

Cygnus.

JULJAN EJSMOND

W 25-lecie szkoły polskiej

Szkoła polska, którą dziś mamy w odrodzonej Ojczyźnie, nie przyszła z powietrza tak jak katar lub natchnienie. Trzeba ją było wywalczyć żmudnym i ofiarnym bojem. Koszmar dawnych czasów, gdy za czytanie polskiej książki dawano „wilczy bilet" minął bezpowrotnie. Dzięki tej walce, którą wygrano.

Obchodzimy teraz dwudziestopięciolecie polskiej szkoły. Nie można mówić o tem bez wzruszenia. Nie można jednak również „spocząć na laurach", gdyż to — klęska. Trzeba dążyć, aby ta szkoła, o którą walczono tak bohatersko z zaborcami, była dziś istotnie chlubą naszą i radością. Trzeba, ażeby młodzież z niej wychodziła uśmiechnięta i pełna wesela. I żeby ten uśmiech zachowała już przez całe swoje życie.

Zbyt dużo mamy w Polsce karawaniarstwa, grobowości, strojenia się w czarne kolory i w dostojeństwo, zgryźliwość, która ma zastępować głębię i w śmieszną powagę, która ma zastępować wiedzę. Wszystko to stanowi nasz grzech pierworodny za który z łatwością możemy być wypędzeni z raju. Zwalczać te przywary może tylko szkoła, w której nauczycielem będzie uśmiech. Pan profesor Uśmiech.

Profesor to dobrotliwy i będący zawsze w różowym humorze. Nigdy nie zrzędzi, nigdy nie znęca się nad nikim, wszystkich kocha, wszystkim stawia piątki ze sprawowania. To też uczniowie kochają go z całego serca.

W szkole przechodzi się odrę, kaligrafję, ospę wietrzną, algebrę, koklusz i łacińskie słówka. Ale to wszystko nie pozostawia zazwyczaj śladów ani w płucach, ani w głowie. Jest jedna rzecz natomiast, która zostawia ślady na całe życie i w głowie i w sercu ucznia: to uśmiech nauczyciela.

❋

Ludzie starsi mówią zazwyczaj o szkole z przesadą. Zapominają, że kiedyś byli młodymi i — broili. A Jan z Czarnolasu, którego czci w roku bieżącym cała Polska, pozostawił nam wiersz, który złotemi zgłoskami należałoby wypisać na każdym gmachu szkolnym:

„Jakoby rok bez wiosny mieć chcieli,
Którzy chcą, aby młodzi nie szaleli"...

Nie chcę mieć roku bez wiosny. Wiosna jest tem dla roku, czem młodzież dla Narodu: jest jego uśmiechem. I dlatego może się weselić. Jeżeli młodzież przestaje się uśmiechać — to groźny objaw. Śmiech różni ludzi od zwierząt. Niech mi wolno będzie raz jeszcze zacytować Kochanowskiego:

„Sam ze wszystkiego stworzenia
człowiek ma śmiech z przyrodzenia.
Inny wszelaki zwierz niemy
nie śmieje się, jako wiemy..."

Minęła dawna, wroga szkoła, w której znienawidzony belfer gnębił ucznia—Polaka jak mógł i pastwił się nad nim z sadyzmem. Minęła dawna szkoła, w której nauczyciel lękał się uśmiechu i pogody swej ofiary, węsząc w tym ironję i bunt. Dziś, chwała Bogu, we własnej szkole nie potrzebujemy się obawiać wesołości. Niech wchodzi drzwiami i oknami! Niech wzmacnia i krzepi — aby pracować było milej.

❋

Miałem nauczyciela łaciny, który nam mówił o nimfach „uśmiechniętych pod względem twarzy". Tak tłomaczył tekst natchnionego rzymskiego poety. W szkolnej sali — poprzez widmo wszystkich cum, ut, konjugacji, deklinacji i innych djabłów, — pochylonym nad „tekstem" uczniom marzyły się te nimfy „uśmiechnięte pod względem twarzy" — i rzucały w młode dusze dziwny czar — naprzekór srogim gramatykom i składniom! Nauczyciel, który musi mówić rzeczy trudne i nudne, niechajże przynajmniej uśmiechnie się do uczniów „pod względem twarzy"...

Miejmy nadzieję, że w 50-lecie polskiej szkoły doczekamy królowania w niej uśmiechu. Może będzie on przedmiotem wykładowym, tak, jak matematyka lub łacina, może będą stawiali za niego stopnie. W każdym razie w 50-lecie polskiej szkoły zamierzam napisać dla 7 Dni artykuł p. t. „Zwycięstwo uśmiechu w nauczaniu". (Pismo rozchodzić się będzie wówczas zapewne w 100 tysiącach egzemplarzy). Ostatni zgryźliwi profesorowie i ostatni zgryźliwi uczniowie oddani będą do specjalnego zakładu leczniczego i tam poddani działalności gazów rozweselających. Nikt nikomu nie będzie stawiał pałek ani dwójek i nikt nie będzie zasługiwał na pałki ani na dwójki. Trójki będzie się stawiało tylko z plusami. Bo i poco kogoś martwić?

❋

Gdy się pomyśli o męce dawnych pokoleń w szkole wrogiej — radość ogarnia duszę. Nie, nie będziemy czekali do 50-lecia polskiej szkoły. Odrazu dziś napiszę, iż uśmiech zwycięża. A zwycięża naprawdę. Czyż można się smucić, gdy się pomyśli, że w wolnej Polsce w polskiej szkole możemy się uczyć — i tę szkołę coraz bardziej doskonalić — i tę szkołę coraz goręcej kochać. I uśmiechać się do nauczycieli. Bo uśmiechem muszę skończyć ten feljeton.



KOLEDZY!

Bojkot szkoły rządowej w dalszym ciągu trwa; zapał zaś młodzieży zaczyna stygnąć!

Wśród licznych jednostek szkół polskich wyrabia się przekonanie niesłuszne, że trzeba zdobywać osławione patenty rządowe, gdyż to jest „wyzyskaniem rządu." Czy zaślepienie, czy też hańbiący odwrót?! Tyle zapału, tyle energji i poświęceń włożyła młodzież w walkę o unarodowienie szkoły, że niewolno jej teraz zwracać się do znienawidzonego przez wszystkich rządu o „opatentowanie swej inteligencji.

Zdobywać patenty, to przykładać cegłę do grobu szkół polskich i burzyć ma zenia o wyższych uczelniach. Młodzież polska jedzie po patenty rządowe!! Czy to nie szalona orgja radości dla biurokratów i rządu?!

W zakładach zagranicznych widok „atiestatów" wyrobi przekonanie nieudolności szkoły polskiej. Nie wolno nam jej poniżać w opinji zagranicy. Prawa służby wojskowej zdobywać możemy w korpusach kadeckich, które jednak nie dają wolnego wstępu na uniwersytety

Koledzy! Przed dwoma laty walka była bardziej niebezpieczna, wyczerpująca, jednak opromieniona słońcem zwycięztwa. Chęć karjery i zimny rozsądek każe Wam schylać się przed bożkiem ucisku, lecz pamiętajcie, że słowa pogardy naszej dojdą do was, choćbyście stali na najwyższym szczeblu i u szczytu tak nęcącej was karjery.

My nie zdajemy i przesyłamy Wam słowa gorącej zachęty do odwrotu z hańbiącej drogi

Klasy: 7, 6^A, 6^B Szkoły Wróblewskiego.

Warszawa d. 28 Stycznia 1907.

Odezwa z 1907 r. przeciw oportunizmowi zdawania matur rosyjskich.

МИНИСТЕРСТВО
НАРОДНАГО ПРОСВѢЩЕНІЯ.
ВАРШАВСКІЙ УЧЕБНЫЙ ОКРУГЪ
ДИРЕКТОРЪ
ВАРШАВСКОЙ ЧАСТНОЙ НА ПРАВАХЪ КАЗЕННЫХЪ
Мужской Гимназіи
ГЕНЕРАЛЪ-ЛЕЙТЕНАНТА
П. П. Хржановскаго.
Февраля 19 дня 1905 г.
№ 207
г. Варшава
Великая ул. 13

Г-ну Горжинскому
Гожая № 37 кв. 6

Имѣю честь сообщить Вамъ, Милостивая Государыня что Вашъ ~~сынъ~~ (племянникъ) ученикъ 6 класса ввѣренной мнѣ гимназіи Валентий Янковский за грубое нарушеніе гимназической дисциплины 29 января сего года уволенъ изъ гимназіи по п. 17 § II Правилъ о взысканіяхъ, т. е. съ правомъ поступленія въ другія учебныя заведенія гор. Варшавы. Личные документы ~~сына~~ (племянника) Вашего и увольнительное свидѣтельство, по изготовленіи, будутъ высланы Вамъ чрезъ полицію.

ДИРЕКТОРЪ ГИМНАЗІИ Ѳ. Волковский

Письмоводитель Шашкевич

„Wilczy bilet".

Miłość i małżeństwo

Naogół ludzie nie szczędzą najgorszych przepowiedni młodym parom, które prędko pokochawszy się, równie prędko się pobierają, a czasem i... rozchodzą. W solidnych kołach mieszczańskiej inteligencji i „towarzystwa", tych, które tworzą „opinję społeczeństwa", uważa się, że narzeczeni, czy zakochani, winni przedewszystkiem dobrze poznać się, zżyć do pewnego stopnia, a już nieodzownym warunkiem małżeństwa jest, aby przyszły mąż był „na stanowisku", aby mógł absolutnie zabezpieczyć swą pracą byt żonie i rodzinie, jaką tworzy. O małżeństwie z miłości przeważnie mówi się z przekąsem: „Ot, młodzi — zielono w głowie. Zobaczycie, że to się źle skończy, już ja powiadam!"

Bądźmy jednak szczerzy. Czy długo planowane i obmyślane małżeństwa są zawsze szczęśliwsze, niż inne? Bardzo często przecież słyszy się o tragedjach, jakie rozgrywają się w rodzinach dlatego, że ojciec nie pozwala synowi żenić się z ubogą, lub niskiego pochodzenia dziewczyną, albo córce wyjść za takiegoż mężczyznę. A nieraz dochodzi z tego powodu do wydziedziczenia, nędzy młodego małżeństwa, liczącego na pomoc rodziców, a w każdym razie do nienawiści najbardziej bolesnej, — nienawiści między dziećmi, a rodzicami. Klasycznym i dziś aktualnym wypadkiem tego rodzaju jest małżeństwo córki nowojorskiego multimiljonera Mackay'a ze znanym kompozytorem amerykańskim, Yrvingiem. Młoda milion-lady, jedynaczka, została wydziedziczona przez czułego ojca, który w dodatku raz na zawsze zabronił jej wejść do swego domu. Całe szczęście, że Yrving był dość zamożny, jak na stosunki polskie nawet bardzo bogaty, ale w porównaniu z teściem swym mógł śmiało nazwać się żebrakiem. Ale wypadek ten jest nie odosobniony — mamy ich wiele. Jeśli zaś nie idzie specjalnie o majątek, to ileż małżeństw z miłości, szybko zawartych, jest równie szczęśliwych i zgodnych, jak te, co są wynikiem wielu miesięcy wzajemnej obserwacji i doświadczania się obojga narzeczonych. Jeśli nie nadają się dla siebie, to i długie narzeczeństwo i rozwaga nic im nie pomoże. Można nawet powiedzieć, że związki małżeńskie, zawierane pod wpływem otoczenia, są naogół mniej udane, nie tak szczęśliwe, jak te, które wynikły z poznania się przypadkowego dwojga młodych, kiedy i ona i on pobierają się, najmniej zważając na zdanie innych. Prawda. Niema ludzi bez wad. Ale miłość jest ślepa i wad ukochanej osoby widzieć nie chce — często nawet kocha je tak samo, jak zalety. Jakże więc przedstawiają się w świetle etyki uczucia te i ci, którzy za święty obowiązek uważają sobie uświadamiać jedno z kochanków o ujemnych stronach drugiego, często gęsto przejaskrawiając wady i siląc się na przewidywanie rzeczy najgorszych!

Z punktu widzenia biologji miłość jest pewnem osłabieniem władz duchowych, tych, które wydają sądy i spostrzegają, na korzyść tych, które czują. Natura wie, co robi. Bez tego bowiem niema mowy o zadośćuczynieniu prawu zachowania i doskonalenia gatunku. Istnieje i tu więc pewien dobór naturalny, któremu nie powinni przeszkadzać rodzice, znajomi i tak zwani przyjaciele, czy przyjaciółki. Przecież małżeństwa z własnej woli są lepsze od tych, które skojarzono przez swaty, a zawsze lepsze od zawieranych dla pieniędzy, tytułu, czy karjery. Gdy nawet młodzi pobierają się wbrew całemu światu, to już wykazują dużo silnej woli i energji, a jeżeli nie są niedołęgami i mają charakter, to choć często cierpią długi czas biedę i doznają zmartwień i kłopotów — wiążą ich i czynią silniejszymi wspólne niedole i troski, które zawsze są lepszą spójnią, niż dobrobyt, czy interes. A jeżeli jedno, ona, czy on — przestaje kochać, to dowodzi tylko, że nie wniosło w małżeństwo dość uczucia i uczciwości, tego wreszcie, co

(Dokończenie na str. 16-tej)

ACHILLE CAMPANILE.

DZIWNA PRZYGODA

Przekład z włoskiego Stefanji Peltynowej

O ile o mnie chodzi, to wolę sam akt wyjazdu od podróżowania. Lecz lubię wyjeżdżać wtedy tylko, gdy to jest niemożliwe. Wówczas myślę z przyjemnością o wyjeździe na stację z bagażami, o kupieniu biletu, zajęciu miejsca, o turkocie ruszającego pociągu, zatrzymującego się w nocy na małych stacyjkach, o kupowaniu w oknie wagonu wody mineralnej i o przybyciu na miejsce z wielkiem opóźnieniem.

Gdy natomiast zmuszony jestem wyjechać, znajduję, że wszystko to połączone jest z licznemi przykrościami, i zaledwie znajdę się w wagonie, chciałbym już być na miejscu, lecz, gdy tylko powracam, natychmiast znów ogarnia mnie manja podróżowania. Nastrój ten potęguje we mnie nadzieja doznania w czasie podróży jakichś romantycznych przygód, lecz w rzeczywistości rzadko mi się to zdarza.

Pozatem przez dłuższy czas marzyłem o pełnej romantyzmu radości wyjścia na chwilę na małej stacyjce, zagubionej w górach i o możliwości odejścia pociągu z przed nosa. Lecz od roku już nie myślę o tem, od czasu, kiedy właśnie zdarzył mi się pewien wypadek.

Była to przygoda raczej romantyczna, którą pozwolę sobie opowiedzieć.

Jechałem z Tyrolu do Wiednia i w przedziale moim znajdowała się piękna kobieta, Włoszka, z którą nawiązałem rozmowę.

W Salzburgu, gdzie pociąg zatrzymuje się na pół godziny, postanowiliśmy pójść na herbatę do stacyjnego bufetu. Byliśmy jedynymi, którzy wysiedli o tej porze, ponieważ była godzina pierwsza po północy i cały pociąg pogrążony był we śnie.

Sala bufetowa, jasno oświetlona, była pusta i smutna. Po upływie kwadransa wyszliśmy stamtąd, aby powrócić do wagonu.

W tej samej chwili zdałem sobie sprawę z nieostrożności, jaką popełniłem, nie zwróciwszy uwagi, na którym torze stoi nasz pociąg.

Przed nami stało rzędem więcej, niż dziesięć jednakowych pociągów, długich, ciemnych, hermetycznie zamkniętych, z opuszczonemi firaneczkami u okien. Obszerna stacja, olśniewająca potokami świateł, była pusta i milcząca; perony były wymiecione, a pociągi pogrążone we śnie. Wokoło ani żywej duszy.

Na chybił-trafił skierowałem się ku jednemu z pociągów i przebiegliśmy peron aż do lokomotywy. Mógł to być doskonale nasz pociąg, ale nie było wykluczone, że był nim inny. Dlatego też, nic nie mówiąc o swych wątpliwościach, wróciłem nazad w pośpiechu wzdłuż drugiego, nie kończącego się peronu i przebiegliśmy inny od początku do końca. Tu dopiero moja towarzyszka, zaczynając się orjentować, spytała mnie, czy nie rozpoznaję naszego pociągu. Poradziłem jej, żeby starała się go poznać, jeśli możliwe, a wówczas zaczęła płakać...

Przebiegliśmy znów inny, nie kończący się peron, potem drugi, a po nim jeszcze trzeci. Ale od pewnej chwili miałem przeświadczenie, że jedyną rzeczą, która nam pozostawała, ażeby rozpoznać nasz pociąg, było obserwować, który z tych trzynastu, czy czternastu odejdzie o godzinie, oznaczonej dla naszego pociągu. Bieganina wzdłuż tych wszystkich wagonów od pierwszego do ostatniego, była absolutnie bezcelowa. Musielibyśmy wchodzić do każdego z przedziałów pierwszej klasy, gdzie spali podróżni, otwierać każdy z nich po kolei, znów wychodzić i, ażeby dostać się do drugiego pociągu, na nowo przebiegać te straszliwe, nie kończące się perony.

Zaczęliśmy biec, jak szaleni, podczas gdy moja towarzyszka, płacząc wciąż, wyliczała wszystkie swoje rzeczy. Opowiadała mi o biżuterji, futrach, toaletach, — a tymczasem wskazówki stacyjnego zegara świetlnego, jak para olbrzymich nożyc, pożerały nieubłaganie ostatnie dziesięć minut, brakujące do odejścia pociągu.

Na chybił-trafił weszliśmy do jakiegoś pociągu i zajrzeliśmy do jednego z przedziałów. Wszyscy spali w fioletowem świetle. Nie był to nasz przedział. Przeszliśmy do następnego. Wszędzie obce twarze Niemców: wstrętne gęby, zamknięte oczy, otwarte usta, zaciśnięte ręce. Wyszliśmy, przebiegliśmy peron i znów weszliśmy do innego pociągu, zaglądając do każdego przedziału. Wszędzie twarze nieznane, oczy zamknięte, usta otwarte, na które lampki rzucały fioletowe światło. Przykro jest budzić śpiących podróżnych. Strasznie trudno jest dowiedzieć się czegoś od Niemców, gdy nie śpią. Można więc sobie wyobrazić, czem jest otrzymanie informacji od Niemców śpiących w wagonie, nie znając w dodatku ani jednego słowa po niemiecku.

Znów powtórzyliśmy wędrówkę od pociągu do pociągu: te same postacie, pogrążone we śnie, przechylone na lewo, na prawo, lub w tył, ze skurczonemi nogami i zwisającemi ramionami w upiornem fioletowem świetle.

Pięć minut do odejścia. Za pięć minut nasz pociąg odejdzie niczem widmo, jak to zwykle bywa z austrjackiemi pociągami.

Ażeby skrócić sobie drogę przebiegaliśmy teraz od jednego do drugiego pociągu przez tor kolejowy, nie zważając na niebezpieczeństwo najechania jakiejś manewrującej lokomotywy. W pewnem miejscu ujrzeliśmy zbliżającą się czerwoną latarkę. Był to palacz o twarzy szatana. Zaprowadził nas do jednego z pociągów.

— Nach Wien? — zapytaliśmy.

Głosem świszczącym, nie poruszając się z miejsca, mówił coś po niemiecku. Poczem wskazał w wagonie na dwa wolne miejsca i stał, czekając na napiwek.

— Nach Wien? — zapytaliśmy jednego z jadących.

— Nein, nach München.

Zeskoczyliśmy szybko i w tej oświetlonej, rozpaczliwej i nieubłaganej ciszy stacyjnej zaczęliśmy biec już bez celu.

Gdyśmy stanęli, wskazówki świetlnego zegara znaczyły 10 olbrzymich minut po czasie odejścia naszego pociągu.

— — — — — — — — — — — —

Historja ta kończy się różnie, stosownie do tego, komu ją opowiadam. Dla amatorów przygód pikantnych zmuszony byłem spędzić noc w towarzystwie pięknej pani, dla tych, którzy nie wierzą w świetną organizację kolei austrjackich, poszliśmy z reklamacją do zawiadowcy, który zwyczajnie zatelegrafował na następną stację i tam odnaleźliśmy w największym porządku nasze bagaże. Dla pesymistów — rzeczy nasze przepadły.

W tem miejscu muszę powiedzieć, że cała ta historja jest przeze mnie zmyślona. Chodzi o jedną z tych przygód, która mi się nigdy nie zdarzyła, ale którą wymyśliłem w celu opowiedzenia jej przyjaciołom. Tyle razy ją opowiadałem, aż w końcu sam w to uwierzyłem, że w Salzburgu pociąg umknął nam z przed nosa. W każdym razie jest w tem część prawdy, mianowicie, że z moją piękną towarzyszką podróży piłem herbatę w bufecie stacyjnym, poczem wróciliśmy do wagonu i pojechaliśmy do Wiednia.

Czy wiecie że...

...od czasu ukończenia wojny, Ameryka zakupiła brylantów za 105 miljonów dolarów. W ciągu jednego roku 1927 — zakupiła ona w zubożałej Europie za 11 miljonów dolarów drogocennych kamieni.

✱

...same odpadki przy szlifowaniu słynnego djamentu „Regent" — posiadały wartość 18 tysięcy franków.

✱

..serce ludzkie jest najdoskonalszym motorem. W ciągu 70-cioletniego życia wykonywa ono 3 miljardy ruchów ssąco-tłoczących. Zaznaczyć należy, że działa ono bez przerwy i bez „reparacji".

Czy wiecie że...

...Ameryka jest rzeczywiście krajem wszelkich możliwości; w Stanach Środkowej Ameryki znaleziono ryby, mające 2 pary oczu.

✱

..słynny kompozytor Bach był dwukrotnie żonaty i miał ogółem 20 dzieci: 9 córek i 11 synów.

✱

...znany malarz Tycjan zmarł na czarną ospę.

✱

...w całej Australji jest 8 miljonów mieszkańców t. j. prawie tyle ile w samym New-Yorku.

✱

...pierwszą kobietą, która poruszyła sprawę emancypacji kobiet była francuska pisarka z 16 w. Krystyna de Pisan.

MAURYCY DEKOBRA.

Dlaczego amerykanki piją?

Urocze są Amerykanki. Masę posiadają zalet. Bo Stany Zjednoczone — to olbrzymi *shaker*, w którym rozbełtano od kilku pokoleń conajmniej dwadzieścia pięć różnych ras i narodowości, czego wynikiem — żeński *cocktail*, pyszny w smaku. Amerykanki często miewają śliczne figury, bywają wyjątkowo urodziwe — egoizmem wszakże przewyższają 37° normy, spotykanej u istot cywilizowanych; ulegają szlachetnym porywom i przemożnym kaprysom; uwodzą jednych, lecz jednocześnie działają na nerwy. Niemniej jednak na targowisku przeznaczenia stanowią, że tak powiem, artykuł wielce poszukiwany. Wielu z klijentów pozbywa się ich w kasie Rozwodu, wnet jednak stają się nabywcami innego artykułu, identycznego pochodzenia, co świadczy, bądź co bądź, o wysokiej klasie fabrykacji.

Niestety wszakże — obok tysiącznych zalet, Amerykanki odznaczają się jedną kardynalną wadą. Piją. Oczywiście, że nie wszystkie oddają się temu nałogowi, lecz niejedna oddaje się jemu namiętnie. Nigdy nie spokałem ani Francuzki, ani Hiszpanki lub Włoszki w stanie nietrzeźwym, podczas gdy w Ameryce jest to zjawiskiem najzupełniej normalnem. I nie sądzę, że Mary Pickford lub Norma Schaerer zechcą mi wziąć za złe jeśli powtórzę za wybitnymi socjologami i znakomitościami ze świata medycyny, iż zjawisko to rozpowszechniło się, niestety, w zastraszających proporcjach.

Zamożni Amerykanie lubili pić przed wprowadzeniem w życie prawa Volstaeda. Dziś, w okresie prohibicji, piją daleko więcej, a to prawdopodobnie w myśl zasady, iż na to jest prawo, aby można je było omijać.

Iluż to znajomych z za Oceanu spoglądało na mnie, jak na dziwoląga, na co naraziłem się szlachetną swą powściągliwością przed cocktailami i whisky. A przecież ostrzegano mnie.

— Jeśli nie zechcesz pić, obrazisz gospodarza domu, gdyż wówczas pomyśli, iż sądzisz, że nie jest w stanie postawić ci butelki alkoholu, choćby miała kosztować 500 frs.

Dlatego też, pragnąc żyć ze wszystkimi w zgodzie, wyznawałem skwapliwie, iż nawet w Europie nie pijam.

Amerykanka lubi cocktail, o czem mogłem się przekonać niewiedzieć ile razy, nigdy wszelako nie mogłem dociec, dlaczego. Sprawa ta interesuje zarówno lekarzy, jak i etnografów, moralistów i powieściopisarzy. Nie jedną kobietę starałem się wybadać — a każda z nich dawała mi inną odpowiedź. Kilka z nich cytuję poniżej.

— Piję — mówiła mi jedna z pań — gdyż mąż działa mi na nerwy, kiedy jestem trzeźwa. I dlatego właśnie, że muszę znosić tego manjaka, który zapewnia mi środki do wykwintnego życia — piję. A gdy kręci mi się w głowie — wydaje mi się pięknym, jak Novarro i interesującym, jak Bernard Shaw

— Piję — mówiła mi inna Amerykanka — aby dotrzymać towarzystwa mężowi, który zasypia jak bóbr, kiedy się urżnie.

— No, a co z tego?

— I to właśnie mi wówczas wystarcza.

— Piję — oświadczyła mi trzecia kobieta — boć, gdy dokoła masz samych pijaków, należy się do nich dostosować. Co innego z panem, gdyż korzystając ze swych praw cudzoziemca, może pan pozwolić sobie na oryginalność. Bo myślę o was, że przecież wy, literaci, w niczem nie jesteście podobni do ogółu. Bo przybieracie pewną pozę. Co zaś do mnie, to nie mogę przecież psuć innym przyjemności picia, jeśli to słusznie się podoba. Zły przykład silniejszy jest ponad wszystko. Zostałam wychowana w domu rodzicielskim na herbacie i na soczku pomarańczowym. A gdy wyszłam zamąż, przyjaciółki same naprowadziły mnie na złą drogę. — Aha! — mówiły. — Mabel przestrzega prawa... Ależ to kawał... Czyżbyś, droga moja, zaciągnęła się do Armji Zbawenia? — No i cóż miałam począć — spróbowałam przyzwyczaić się do whisky and soda, a wreszcie polubiłam alkohol. Ze trzy razy na tydzień upijam się ze swojemi przyjaciółkami, a kiedy wracam do domu „pod muchą", mąż mój, który pił o wiele więcej w *speak easy*, nie zwraca uwagi na mój stan.

— Chciałam nie dopuścić — oświadczyła mi czwarta z pań — aby w moim domu przynajmniej upijano się. Zapraszałam znajomych na „suche" przyjęcia. Ani wina ,ani żadnego alkoholu. I kiedy pewien raz zebrało się u nas z dwanaście osób — uznano to za bardzo oryginalny pomysł. — Aha! — dokuczano mi — *Cocktail'e* są na indeksie w tym domu? Miła gospodyni, wszak nie wiesz nawet, że do raju wstąpisz dziś jeszcze, o północy Niech żyją „suche" Stany Zjednoczone!... i t. d., i t. d. Podczas drugiego przyjęcia w moim domu spostrzegłam odrazu, że połowa moich gości przybyła już w doskonałych humorach i że panowie, którzy zasiedli do bridge'a przynieśli poprostu whisky w kieszeniach. Może pan sobie wyobrazić, jak byłam zgorszona... Bo cóżby pan pomyślał w Paryżu, gdyby goście przybyli do pana, zaopatrzenie we własne wiktuały... Wyglądałoby to na przeświadczenie z ich strony, że żałuję im wszystkiego.

— No, a co dalej?...

— Dalej — bardzo proste. Kiedy zatelefonowałam do tych lub innych, których miałam zamiar zaprosić — wszędzie usłyszałam odpowiedź: — „żałujemy, *darling*, ale, niestety, nie możemy przybyć — interesy..." Dano mi, słowem, do zrozumienia, że nikt nie kwapi się do nas.

— Każdy wolał „mokre" przyjęcie!

— Tak jest. Bez wątpienia. I wówczas dopiero dobrze rozważyłam sytuację. Jedni powtarzali sobie na ucho, iż straty nasze na giełdzie zmuszają mnie do oszczędności i że nie mogą kupić chociażby ginu — nie mówiąc o szampanie od dostawcy. Drudzy uważali, że... zwarjowałam, że pragnę odegrać rolę apostoła prohibicji, wbrew przekonaniom wszystkich. Słowem — widziałem, że sytuacja nasza stała się chwiejna i że ja się do tego przyczyniam.

— No, i co?...

— A wówczas poddałam się na całej linji. Miałam do wyboru — gin, albo osamotnienie. Postanowiłam więc zawrócić z błędnej drogi. Zaczęto u mnie pić i to do takiego stopnia, że niedawno wywieziono od nas kogoś w okropnym stanie, nieprzytomnego....

— A cóż na to żony?

— Żony w podobnych wypadkach zapijają z początku swą rozpacz, a później kwitują z wszelkich trudności.

*

Wyznania miłych Amerykanek wywarły na mnie wprost ponure wrażenie. Bo jakże to? Dookoła dobrobyt, wszelkie zdobycze, jakie może dać cywilizacja, wzniosłe hasła, o które walczą całe pokolenia i które udaje im się realizować — a obok tego przedziwne rozluźnienie obyczajów, o jakiem my nawet, Francuzi, uchodzący na naród lekkomyślny, nie mamy pojęcia. I teraz dopiero zdałem sobie sprawę, że jeśli Paryż od czasu wojny zmienił się nie do poznania, zawdzięczać to może głównie ciągłemu napływowi turystów z Ameryki, którzy starają się, bądź co bądź, utrzymać w swoim własnym kraju pozory, a u nas, mimo, że zdaleka można poznać kto zacz i skąd pochodzi, zażywają swobodnie *good-time*. Dziwne ideały — dalekie od wszelkiej wzniosłości ducha i myśli...

Lecz cóż na to zrobić — w dzisiejszych smutnych czasach wybujałego materjalizmu, dobrze się mówi o tym, co szerokim gestem rozsiewa dookoła siebie pieniądze, a o tym, co w pocie czoła skrzętnie je zgarnia, z myślą o świetlanej przyszłości dla siebie, a więc i dla kraju — nic się nie mówi lub traktuje z pogardą.

Piękna fasada, okazywana światu za Oceanem, jest pokryta ordynarnym blichtrem, za którym ukrywa się pustka. Rosjanie ongiś przemachali na wszystko ręką i zapijając jałowość każdego dnia mawiali: „niczewo" — Amerykę ratuje jeno szalony impet, nadany rozpędowemi kołami pracy — dla kogo, poco — *never mind...* i piją na umór, wznosząc kielichy za zdrowie poczciwca Volstaeda i prohibicji. Piją młodzi, piją starsi, piją kobiety... A, fe, gotów jestem zapisać się do Armji Zbawienia...

Nie mówmy o tem, chodźmy do *speak easy*... by popijając gin pomówić poprostu o *businessie.*

*

Pijąca Amerykanka uważa, że należy omijać ustawę o prohibicji przedewszyskiem dlatego, że dobry cocktail budzi ludzi do życia, podnieca nerwy, zmęczone trybem egzystencji wielkomiejskiej. Uważa ponadto, iż cocktail otwiera wrota do raju na tej ziemi. Ludzie i rzeczy — wszystko wówczas zaczyna ożywać. Monotonję zamienia *good time*, który ze swej strony leży na drodze ku szczytowi filizofji i jeneralnego zobojętnienia na to, co wypada, a co nie... Urojonym trudnościom życiowym przeciwstawić trzeba imaginowane rozrywki. Jedni znajdują owo good time w mniej lub więcej uduchowionej miłości— czemużby inni nie mogli znajdować owego błogiego nastroju w kieliszku? Jedynym tu brakiem jest to, że nadużywanie coctailu zagraża nietylo może zdrowiu, ile naprowadza na wytrącenie z równowagi moralnej.

A gdy pewnego wieczora w dzielnicy Harlem, przy dźwięku rozpasanej orgji muzyczno-tanecznej, poruszyłem tę sprawę z jedną niewiastą, na której fizjonomji można już było odczytać zgubne ślady alkoholu — odpowiedziała mi:

— Życie jest tak krótkie, drogi panie, a śmierć tak szybko nas porwie w swe objęcia...

— Czyżby tak prędko? — wtrąciłem.

— Tak, tak — nie mylę się.... Bardzo szybko, niestety, boć śmierć, drogi panie, jest potężnym władcą.



Kamilla Horn. *(Muzafilm).*



WIKTOR PRZECŁAWSKI.



IX.

14.

Spisek Wysockiego, chociaż był spiskiem typowo młodzieńczej rewolucji, miał jednak tajny, bardzo silny związek z ogromną większością społeczeństwa, związek zrozumienia, uczucia i nastroju, który bywa częstokroć silniejszy od zimnych i rozumnych kalkulacyj dyplomatycznych i który nawet po gwałtownych i niespodziewanych wybuchach na długo nieraz zachowuje duchowe kierownictwo narodu i nadaje główny ton historycznym zdarzeniom. Spisek Wysockiego, porywający, płomienny spisek młodzieży, która w imię wolności i dumy narodowej cały swój los na jedną postawiła kartę, jest niejako najpiękniejszym kwiatem wszystkich ówczesnych związków i starań, jest obrazem najczystszych uczuć bez najmniejszej choćby domieszki egoizmu i wyrachowania. Skupił i ujawnił wszystkie najpłomiennejsze, choć ukryte i nie wszędzie uświadomione uczucia dumy narodowej. Rozproszone promienie żądzy wolności zuchwale zebrał i w dumne słońce w szaleństwie czynu zamienił. Nastroje i marzenia, w których wiele było romantycznego bezczynu, zamienił na czyn krwawy i dzięki temu ocalił znowu honor narodu. A wiemy dziś z wszelką pewnością, że naród, który honoru swego kochać i czcić nie umie, nie będzie umiał także obronić swej wolności. Duma narodu jest niejako najpiękniejszym kwiatem wszystkich wartości, tyle samo znaczącą, co ziemia, wody, lasy, czy inne wartości naturalne.

Wybuch spisku Wysockiego miał, oczywiście, swe naturalne, nietylko uczuciowe, podstawy w nastrojach ogólnych i zdarzeniach ogólnych, polskich i europejskich. Rok 1830 bowiem był rokiem poważnych i płomiennych ruchów rewolucyjnych. Rewolucja we Francji spowodowała upadek Burbonów i na nowo wzniosła dumnie sztandar hasła samookreślenia narodów. Zatrzęsła się poprostu cała Europa. Za przykładem Francji porwały się do czynu i inne ludy, niezadowolone istniejącym stanem rzeczy i żądne nowych możliwości dalszego rozwoju. W sierpniu rozwinęła chorągiew buntu maleńka, ale energiczna Belgja, którą despotyczny kongres wiedeński połączył z Holandją. Pod koniec roku, poruszyły się także niektóre państewka włoskie, jak Parma, Modena i Państwo Kościelne, i niemieckie, jak Hannower, Hessen-Kassel i t. p., które zdołały sobie wywalczyć nadania konstytucyjne. Blady strach lub dumny gniew błąkał się teraz po wszystkich salach tronowych. Nastrój rewolucyjny rósł. To, co się wydawało niemożliwością i marzeniem, zaczęło przyoblekać realne kształty, a romantyczne ballady i ody dzwoniły teraz rytmem wojskowego kroku i pobrzękiem stali.

Wrzało i w Polsce. Tylokrotnie wymęczona, tylokrotnie zawiedziona i rozczarowana, tylokrotnie zdradzona i opuszczona Polska czuła się przecież zawsze wierną siostrzycą Francji i okrzyk „do broni!", rozlegający się na ulicach Paryża, musiał głośne i wyraźne echa obudzić w stołecznej Warszawie. Magiczna siła haseł wolności i dumy już rozpoczęła działać, i nic już teraz nie mogło powstrzymać wypadków, które rozwijały się z niezwykłą szybkością, a z żelazną logiką.

Ale i inna wiadomość podniecała i wzbudzała umysły. Rozeszły się uparte wieści o grożącej, nowej europejskiej wojnie, na którą car Mikołaj chce posłać także wojsko polskie! Tak zresztą było. Car Mikołaj wierny był zasadom i obowiązkom Świętego Przymierza, a strwożony przejawami europejskich rewolucyj, rozpoczął natychmiast układy z Austrją i Prusami, układy pilne i ważne, bo zmierzające ku rozbiciu „nowej" Francji, wygnaniu Ludwika-Filipa Orleańskiego i zniszczeniu siłą wszelkich zachodnich rewolucyj. Armja polska, która zawsze i wszędzie biła się za wolność, a w każdym razie nigdy nic wspólnego z „żandarmami Europy" nie miała, powinna teraz, na rozkaz cara-króla, zabijać i wieszać „buntowszczyków"?! No, tak! Bo „ukaz" był już gotowy! „Ukaz" ten przewidywał pełną mobilizację wojska polskiego, nakazywał korpusom rosyjskim koncentrację na terenie Kongresówki i poruczał rządowi polskiemu utrzymanie całej tej masy. Te wszystkie rozkazy były już zupełnie jawnem podeptaniem konstytucji, kpinami z polskiej odrębności, szyderstwem z polskiej myśli i idei, wdeptywaniem w błoto dumnych i szczerych haseł polskich sztandarów. Przemówił rosyjski car-samodzierżca-despota-tyran i żandarm Europy. I zadrżała Europa, zadrżała Rosja, — nie zadrżała Polska. Obudziła się w duszy polskiej duma narodowa. Najpiękniejszy, najwspanialszy honor — ten, pod Lipskiem już raz uratowany — znalazł nietylko wiernych i pełnych poświęcenia, lecz i dzielnych ,czyn rozumiejących obrońców. Wściekłemu i pewnemu siebie „byt' po siemu" petersburskiej stolicy — młoda Warszawa odpowiedziała: nie!

Piszemy „młoda", gdyż młodzież właśnie porwała naród do broni, młodzież zwyciężała.

Podporucznik polskiego pułku strzelców gwardji, Piotr Wysocki, nie posiadał ani niezwykłego wykształcenia, ani też wybitniejszych zdolności organizacyjnych. Lecz zato serce miał płomienne i wierzące, wspaniały temperament i cudowny instynkt, którym czuł, że do zupełnej hańby i poniżenia dopuścić nie wolno. Zorganizował spisek. Cel jasny i prosty: powstanie zbrojne przy pomocy wojska.

Rzecz jasna, że tak postawiony spisek nie mógł objąć zbyt szerokich kręgów. Lecz przystąpili doń przedewszystkiem niżsi wojskowi i uniwersytecka młodzież. O porozumieniu z rosyjskiemi działaczami rewolucyjnych dążeń, mowy być nie mogło, a wszystkie starania zjednania dla idei spisku wybitnych przedstawicieli starszego polskiego społeczeństwa, jak np. Niemcewicza, Gustawa Małachowskiego i innych, oczywiście, spełzły na niczem. Starsze pokolenie bowiem, zmęczone i wyczerpane, nie mogło zrozumieć konieczności zerwania z Rosją i takiego zerwania wogóle sobie nie wyobrażało. Musiano więc obejść się bez nich. Wybuch powstania naznaczony był pierwotnie na drugą połowę maja 1829 roku, lecz następnie został odłożony. Spiskowcy sądzili, że sygnał powstania wyjdzie z sejmu. Wojna Rosji z Turcją wróżyła powodzenie. Lecz sejm, aczkolwiek wybitnie opozycyjny, nie został rozpędzony. A później milczał. Lecz to nie przestraszyło spiskowców. Kontakt z narodem przekonywał ich, że sejm nie jest narodem.

15.

Jednym z najbliższych pomocników Piotra Wysockiego był nauczyciel szkoły pływania Józef Zaliwski. Spisek Wysockiego rychło objął młodzież wojskową, i połączył się z tajnemi kółkami studentów warszawskiego uniwersytetu, których było dość wiele, i których rewolucyjne nazwy ustawicznie się zmieniały. Te młodzieńcze organizacje działały dość sprawnie i starały się wnikać i pobudzać różne sfery społeczeństwa. Agitacyjna praca wśród mieszczan szła naogół dobrze, a szeptano już także o przyłączeniu się przedstawicieli partji arystokratów, pomiędzy któremi był także ks. Adam Czartoryski. Historycy rosyjscy (Karnowicz) zapewniają, że spisek Wysockiego miał swych agentów także wśród żołnierzy i oficerów korpusu litewskiego, a mimo to ani dobrze płatni szpiedzy rosyjscy, ani organy władz w. ks. Konstantego nic o tem nie wiedzieli. Spisek dojrzewał w zupełnej ciszy i wybuchł niespodzianie; był gromem nietylko dla północnej stolicy, był gromem także dla stolic zachodnich — i dla dużej części słodko drzemiącego społeczeństwa polskiego.

Za kulisami pokoju i wojny

I.

Szpieg!

Wstrętne, sprzedajne, ciemne, pozbawione honoru i ambicji, indywiduum. Postać niewyraźna, śliska, pełzająca w cieniu, kryjąca się przed dziennem światłem. Chytre, niespokojnie biegające oczy, uszy wiecznie nadstawione, mięśnie sprężone jakby do skoku, ręka ściśnięta kurczowo na głowni, ukrytego w zanadrzu sztyletu. Typ czysto Lombrozoski, otoczony atmosferą podejrzliwości, wylanych łez i niezgłębionej rozpaczy.

Szpieg — to zapowiedź nadciągającego nieszczęścia, czającego się złowrogo dokoła nas, to postać niemal apokaliptyczna, wysuwająca swe dłonie ku naszemu gardłu.

Wychowani w atmosferza niewoli, przy dźwięku kajdanów na nogach skazańców, wleczonych na Sybir, otoczeni zewsząd agentami ochrany, czuwającymi nad naszą wiernopoddańczą prawomyślnością, w ten sposób wyobrażaliśmy sobie szpiega, który plugawą swą ręką burzył szczęście rodziny i dławił najszlachetniejsze porywy i myśli.

Szpieg był wysłannikiem przemocy, pastwiącej się nad bezbronnym, wydzierającej najlepsze jednostki z łona społeczeństwa, niszczącej, w swej fanatycznej nienawiści, to, co wyższe duchem i goretsze sercem.

Nic więc dziwnego, że znienawidzono do głębi ten wytwór pokojowego bezpieczeństwa państwa i sama myśl jakiegokolwiek bądź zbliżenia się doń, była uważana za hańbiącą.

Tak było u nas, aż do chwili, gdy rozszalała wielka wojna. Wojna, uważana powszechnie za największą z plag ludzkości, jest jednocześnie wielkim tyglem, w którym przetapiają się szlachetne i nieszlachetne metale charakteru narodów i z którego powstaje nowy amalgamat pojęć, biegunowo różny od poprzedniego.

Również i ciemna sylwetka znienawidzonego szpiega wybielała w ogniu wojennym. Z nędznego gada, zatruwającego swym odechem atmosferę, urosła niemal do bohaterstwa. Podłość zastąpiona została przez poświęcenie, nienawiść — przez miłość ojczyzny, tchórzostwo — przez odwagę. Szpieg był nieraz alfą i omegą zwycięstwa, prawą i jedyną ręką, prowadzącą do pokonania wroga, tarczą ochronną przed uderzeniem przeciwnika. Nieodzowny czynnik, decydujący o decyzji.

Takim go stworzyła wojna i takim pozostał nadal.

W kilku kolejnych artykułach chcemy skreślić w możliwie najzwięźlejszych zarysach historję szpiegostwa wojennego — inaczej zwanego wywiadem, które, jak się przekonamy, stało się z czasem najczulszym organem armji, najsubtelniejszą bronią wyfraczonej i urękawicznionej dyplomacji. Artykuły nasze nie obejmą w swych ramach słynnej, angielskiej „Intelligence Service", ponieważ wymagałoby to wielu obszernych tomów, ograniczą się natomiast do terenu najbliżej nas leżącego, Niemców, Austrji i Rosji, oraz do frontów wielkiej wojny, przebiegających wzdłuż ziem polskich.

*

Taisez vous, mefiez vous, les oreilles ennemies vous écoutent! — Vorsicht! Spionen! Liczne tablice, wszędzie porozwieszane, wołały do przechodniów i ostrzegały przed niebacznemi słowy. Wszystkie dworce kolejowe, pociągi, tramwaje i miejsca rozrywkowe podczas wojny usiane były temi ostrzeżeniami. Niebezpieczeństwo szpiegostwa, tak groźnego dla walczących narodów podczas wojny, przed wojną europejską było tak napozór nieznaczne, że nikt nawet o tem nie myślał. Poza szpiegostwem czysto personalnie politycznem, skierowanem przeciwko mniejszościom, szpiegostwo wojskowe ograniczało się do niewielkiego wydziału w sztabie generalnym, obsługiwanego przez kilku zaledwie oficerów. Była to właściwie tylko kadra, która miała się rozwinąć na wypadek zawieruchy wojennej.

Sumy, przeznaczone na wywiad wojskowy, na jakiej 40 lat przed wojną europejską, zamykały się kwotą tak nieznaczną, że utrzymywanie płatnych, wykwalifikowanych szpiegów, na terytorjum ościennego państwa, stawało się rzeczą wręcz niemożliwą. Dlatego też, cała praca wydziału wywiadowczego sztabu generalnego ograniczała się raczej do defenzywy, to jest do obrony wewnętrznej, przeciwko najazdowi szpiegów z zewnątrz. Nieliczni szpiedzy honorowi, tak zwani konfidencji, pracujący poza granicami, nie rozporządzali środkami materjalnemi i nie stanowili żadnej poważnej siły.

Sztab generalny jednak, doceniając ogromnie wywiad wojskowy na obcych terenach, przerzucił cały ciężar pracy szpiegowskiej na placówki konsularne i ambasady. Wywiad, czyniony przez cywilnych urzędników, był jednak prawdziwie cywilnym. Ambasady i konsulaty, chcąc się wywiązać ze swego zadania jaknajdokładniej, zasypywały swój sztab generalny tasiemcowemi raportami i danemi statystycznemi, które często nie miały dla armji żadnego znaczenia. Chcąc uniknąć niepotrzebnego marnowania sił i straty czasu, przydzielono do ambasad oficerów, którzy oficjalnie reprezentowali swoją armję, nieoficjalnie zaś starali się przeniknąć tajemnice wojskowe obcego państwa, oraz podpatrzyć przygotowania wojenne.

Po wojnie francusko-pruskiej, kiedy to Europa rzuciła się gorączkowo do zbrojeń, rządy wszystkich państw, chcąc ubiec sąsiadów w jakości, ilości i wartości przegotowań wojennych, oraz pragnąc wydrzeć tajemnice wojskowe domniemanych przeciwników, wyasygnowały dość znaczne sumy



Pułkownik szt. gen. Batiuszkin, szef wydziału szpiegowskiego w Warszawie

na szpiegostwo, które, wyszedłszy nareszcie z powijaków, zaczęło się rozrastać w niebezpieczną i skutecznie działającą maszynę. Maszyna ta była trudna do skonstruowania, a po jej wybudowaniu niepewna i narażona na ciągłe remonty. Dobór ludzi, który miał stanowić o jej funkcjonowaniu, okazał się bardzo trudny. Jednostki, podejmujące się wywiadów na terenie obcego państwa, nie składały się z samych żelaznych charakterów, nieugiętych i nieprzekupnych. Przyjmując szpiega na służbę, liczyć należało na niego tylko do połowy, z góry zakładając, że zdradzi, lub cofnie przed zbyt niebezpiecznem zadaniem.

Groźba szubienicy lub więzienia łamała często silną wolę i doprowadzała do służby na dwa fronty. W ten sposób zabezpieczało się z obu stron skórę, łatwiej wypełniało się nakazane zadania, no i... więcej się zarabiało. Panu Bogu świeczka i djabłu ogarek.

Zdarzały się jednak wyjątki pomiędzy szpiegami, głównie wśród niepłatnych konfidentów, którzy szczerze, odważnie i uczciwie pracowali dla swego państwa.

Praca była niebezpieczna, narażała w każdej chwili na zaaresztowanie i dalsze konsekwencje. To też cesarz Franciszek Józef wydał dekret o zabezpieczeniu rodzin szpiegów.

„Rodziny straconych przez nieprzyjaciół wywiadowców, należy zaopatrzyć i opiekować się niemi, ponieważ ich żywiciele zginęli podczas niebezpiecznej, a tak pożytecznej dla państwa służby".

*

W latach dziewięćdziesiątych „stosunki szpiegowskie" pomiędzy Rosją a Austrją były bardzo ożywione. Działalność szpiegów rosyjskich na terenie Galicji, a skierowana głównie przeciw twierdzom Przemyśla, Krakowa i Lwowa, przyniosła im w rezultacie zdobycie planów fortyfikacyj. Ówczesny szef rosyjskiego wydziału szpiegowskiego w Warszawie, pułkownik sztabu generalnego, Batiuszkin, posługiwał się najczęściej szpiegami z pośród dezerterów austrjackich, względnie konfidentami, zamieszkałymi na obszarze k. u. k. monarchji.

Między innemi, wszedł on w kontakt z Czechem, rodem z Königsgratzu, Wenclem Markiem, który włamał się do kancelarji dowódcy twierdzy Przemyśla i wydostawszy plany fortyfikacyj, przywiózł je do Warszawy. Obdarzony sowicie przez Batiuszkina, wyjechał Marek do Niemiec, gdzie zamyślał osiąść na stałe. Zamiary jego zostały jednak zniweczone gdyż szef niemieckiego wywiadu, major von Waencker, pracujący wspólnie z austrjackiem biurem ewidencyjnem, pochwycił Marka i oddał sądowi wojennemu, który skazał szpiega na śmierć. Moskale, jakgdyby chcąc się za to zrewanżować, zlikwidowali całą grupę operacyjną szpiegów austro-niemieckich w rejonie Kijowa — Żytomierza — Wołoczyska.

Na terenie austrjackim ożywioną działalność szpiegowską prowadzili attachés rosyjscy przy ambasadzie w Wiedniu: pułkownik Zubow i porucznik Woronin. Pracowali oni w stałym kontakcie z niejakim Wanniczkiem, dzięki któremu wydostali plany mobilizacyjne kolei żelaznych w Galicji.

Od roku 1890, generalny sztab austrjacki, zdecydował wysyłać rok rocznie swych oficerów na studja języka rosyjskiego do Kazania. Ówczesny rosyjski minister wojny, Wannowski, sprzeciwił się temu kategorycznie, oświadczając: „Wręczamy w ten sposób Austrji własnoręcznie broń, którą nas później będą bili". To nieprzejednane stanowisko ministra zmusiło Austrjaków do wysyłania swych oficerów w roli turystów lub kupców, co przyczyniało się nieraz do interwencji żandarmerji wojskowej. Moskale, nie chcąc być dłużnymi, postępowali w analogiczny sposób, wysyłając swych oficerów do Lignicy.

Służba wywiadowcza przeciwko Rosji doznała klęski w roku 1902. Żandarmerja rosyjska wykryła współpracę porucznika rosyjskiego Grimma z niemieckim majorem Erwinem Muellerem. Kompromitacja Muellera, występującego na terenie Petersburga w roli przyjaciela Rosjan, przerwała na długi czas pracę szpiegowską niemieckiego sztabu generalnego. Ułatwiło to natomiast zadanie konfidentom rosyjskim w Galicji, gdzie w 1903 roku porucznik k. k. landwery, Zygmunt Hekajło, włamał się do kancelarji sztabu dywizji w Stanisławowie i dostarczył pułkownikowi Batiuszkinowi obszerne plany mobilizacji wschodniej Galicji, rozkazy na wypadek wojny oraz tajne szyfry wojskowe.

Rosyjski oddział szpiegowski w Warszawie rozwinął w tym czasie swe macki na cały teren Austrji i Niemiec. Placówki konfidentów i punkty operacyjne sztabów szpiegowskich były tak liczne, że defensywy zainteresowanych krajów były chwilami bezsilne. Ofenzywa rosyjska pracowała w tym czasie w ścisłem porozumieniu z wydziałem wywiadowczym francuskim, pod kierownictwem majora Dupont. *) W Paryżu zamieszkiwał niejaki pan Holton, który ogłaszał się stale w „Neuen Freien Presse", że poszukuje oficerów rezerwy, którzyby zaciągali się pod sztandary wojsk kolonjalnych. Pan Holton, aktywny oficer sztabu generalnego rosyjskiego, organizował w ten sposób komórki szpiegowskie i, korzystając z ogromnych sum, jakich mu nie szczędzono z Petersburga, przekupywał oficerów austrjackich



Rosyjski attaché wojskowy w Paryżu, hr. Ignatjew, w rozmowie z generałem Joffre.

*) Troisième livre jaune français l'alliance franco-russe. 1918.

(Dalszy ciąg na str. 21-ej)

Szkoła prowokacji

Na marginesie zajścia granicznego pod Opaleniem.

„Feindliche Flieger haben Nürnberg mit bomben belegt — brzmiał pierwszy komunikat niemiecki. Jednocześnie patrole nieprzyjacielskie przekroczyły w kilku punktach naszą granicę. Wobec tego Cesarz i Naród, zmuszeni zostali dobyć miecza w obronie Ojczyzny".

Jak „obronnem" było to stanowisko Niemiec wiemy doskonale. Wiemy, że żaden samolot francuski nie bombardował Norymbergi, albowiem lotnictwo francuskie nie posiadało wówczas aparatów, zdolnych do takiej akcji. Wiemy, że ówczesny prezes ministrów Francji — Viviani — nakazał wojskom, w celu uniknięcia konfliktu czy prowokacji, cofnąć się o 10 km. od granicy. Wiemy, że w Rosji mobilizacja posuwała się żółwim krokiem, podczas gdy w ostatnim tygodniu lipca 1914 r., podróżni, przebywający Niemcy, spotykali już wszędzie pociągi, naładowane wojskiem i materjałem wojennym. Stan „Drohender Kriegsgefahr" nie był niczem innem, jak ukrytą niemiecką mobilizacją. Zresztą Niemcy w końcu przyznali się sami, że Norymberskie bomby były pomyłką, a najście na Belgję „koniecznością wojenną".

Można się wielu rzeczy spodziewać po narodzie, który dał się koterji junkrów i generałów wziąć na naiwny kawał „wojny obronnej". Można się wszystkiego spodziewać po owych junkrach, których ród bynajmniej nie wygasł. Można się też wielu rzeczy spodziewać po dyplomacji, dla której słynna fałszywa depesza z Ems, bomby z Norymbergi i mordy polityczne były igraszką, a traktaty międzynarodowe — świstkiem papieru. Przecież niektórzy historycy twierdzą, że zamordowanie niemieckiego konsula w Pekinie w czasie rewolty bokserskiej, było dokonane z poduszczenia Niemiec, które poświęciły jednego ze swoich, chcąc w ten sposób mieć powód do zbrojnej interwencji, za którą stały, oczywiście, zdobycze kolonjalne.

A słynna sprawa francuskiego komisarza Schonebelego (Alzatczyka z pochodzenia), którego podstępem zwabiono na terytorjum niemieckie i zakutego w kajdany osadzono w twierdzy. A niedawny skandal z oficerem francuskiego sztabu, zwabionym na terytorjum niemieckie w pobliżu Schafhuzy i zamknięciu w więzieniu. A ostatni wypadek „porwania" we Francji niemieckiego pacyfisty. A tysiące podobnych sztuczek „made in Germany".

To też nie dziwi nas bynajmniej ton prowokacyjny i kłamliwy większości prasy niemieckiej, nie dziwią fałszywe z gruntu i sprzeczne w założeniu wiadomości oficjalne w sprawie smutnego zajścia nad granicą polsko-niemiecką pod Opaleniem. W myśl starej zasady krzyżackiej rzuca się klimkiem, starając wpoić w świat przekonanie, że to „królik zaczął pierwszy". Znów bomby z Norymbergi.

Wobec tych kłamstw i insynuacji powinniśmy pozostać spokojni i godni. Nie sprowokują nas one, nie pozbawią zimnej krwi i pogardy dla tego rodzaju metod. Świat cywilizowany nie uwierzy również w to, że dwaj oficerowie polskiej straży granicznej napadli ni z tego, ni z owego na odwach celników niemieckich. Tak jak nie uwierzono kłamstwom pruskiej propagandy, donoszącym o maltretowaniu jeńców niemieckich we Francji. Grabieżcy z Louvain i podpalacze z Reims mogliby zacząć wpajanie zasad humanitarnych od samych siebie.

Śledztwo przez komisję mieszaną, natrafiło już na trudności ze strony niemieckiej. Niektórzy z urzędników odmawiają zeznań. Komisarz Biedrzycki wciąż przebywa w więzieniu. Słusznie nasze przedstawicielstwo dyplomatyczne upominało się też o odpowiednie reparacje. Ale żadne „ubolewania" czy „tuszowania" nie wskrzeszą komisarza Liśkiewicza, nie otrą łez jego rodziny, nie zmyją śladów zbrodniczej zasadzki.

To też twardo i czujnie stać winna straż polska nad Wisłą i Bałtykiem. Nie damy ziemi, skąd nasz ród, nie pójdziemy na lep krzyżackich prowokacji, a o swoje prawa potrafimy upomnieć się zawsze i wszędzie.

Gins.

Repertuar teatrów

WIELKI

dn. 5 b. m. „Konrad Wallenrod"
dn. 6 b. m. „Rigoletto"
dn. 7 b. m. „Walkirje"
dn. 8 b. m. „Łucja z Lamormoru"

NARODOWY

dn. 5 b. m. „Dom serc złamanych"
od dn. 6 b. m. codziennie „Zły szeląg" B. Winawera.

LETNI

dn. 5 i 6 b. m. „Maman do wzięcia"
od dn. 7 b. m. codziennie „Wysoka stawka" Rapackiego.

POLSKI

codziennie „Słaba płeć"

MAŁY

codziennie „Papa"

ATENEUM

codziennie „Chory z urojenia"

QUI PRO QUO

rewja p. t. „Budżet wiosenny"

MORSKIE OKO

rewja p. t. „Uśmiech Warszawy"

WESOŁY WIECZÓR

rewja p. t. „Czy pani lubi bez?"

ANANAS

rewja p. t. „Co w trawie piszczy"

Co słychać na świecie

Z okazji pobytu p. min. Zaleskiego w Paryżu donoszą stamtąd, jakoby rząd francuski pragnął powierzyć naszemu ministrowi spraw zagranicznych rolę pośrednika w konflikcie. Wiążąc informacje swe z zapowiedzianym na d. 9 b. m. przyjazdem p. min. Grandiego do Warszawy, dzienniki paryskie przewidują, że p. min. Zaleski starać się będzie zacieśnić węzły naszej przyjaźni z Włochami, a jednocześnie skłonić Italję do uznania nienaruszalności granic, wytkniętych traktatem wersalskim, zwłaszcza na wschodzie.

⁂

W związku ze skargą senatu w. m. Gdańska na rzekome upośledzenie przez Polskę portu gdańskiego na rzecz Gdyni, p. min. Kwiatkowski oświadczył w prasie codziennej, że obroty portowe w Gdańsku zaczęły nagle wzrastać dopiero z chwilą podjęcia intensywnej rozbudowy portu w Gdyni, to bowiem dopiero nastawiło całe gospodarstwo Polski na ekspansję na morzu.

⁂

P. min. Staniewicz zwiedził powiaty stołpecki, baranowicki, nowogródzki i nieświeski, gdzie nawałnica gradowa zniszczyła zasiewy, sady, budynki i mosty na 22 tysiącach hektarów. Jest to największa klęska tej wiosny na terytorjum Rzplitej; straty sięgają ponad 5 miljonów zł.

⁂

Delegat nasz przy Lidze Narodów, p. min. Sokal, złożył w sekretarjacie generalnym Ligi uwagi rządu polskiego, co do depeszy litewskiego ministra spraw zagranicznych, nawiązanej do wyolbrzymionych przez prasę kowieńską zajść w Dymitrowce. W uwadze rządu polskiego powiedziano krótko, że zajście nastąpiło na terytorjum polskiem i pomiędzy obywatelami polskimi, wobec czego Litwa nie ma najmniejszego prawa interwenjowania.

⁂

Na polu bitwy pod Ostrołęką odbyło się d. 25 b. m. poświęcenie kamienia węgielnego pod mauzoleum, jakie upamiętnić ma walki polsko-rosyjskie w r. 1831.

⁂

Wybory uzupełniające do Sejmu w pow. lidzkim, wołożyńskim, oszmiańskim i wilejskim, przyniosły liście stronnictwa chłopskiego 4 mandaty, liście komunizującej partji białoruskiej „Zmaganje" 2 mandaty i 1 mandat liście chrześcijańskiej demokracji; w wyborach brało udział zaledwie 30 proc. uprawnionych.

W wyborach uzupełniających do Senatu, jakie się odbyły w woj. wołyńskiem, 2 mandaty zdobył blok mniejszości, 2 mandaty przypadły radykałom ukraińskim i 1 mandat „Selrobowi-lewicy"; udział głosujących sięgał tu zaledwie 22 proc.

⁂

Niemiecki minister finansów p. Moldenhauer oświadczył na posiedzeniu komisji budżetowej parlamentu Rzeszy, że niedobór z końcem roku budżetowego 1929-30 wyniesie 818,7 milj. mk., co pokryć trzeba będzie drogą pożyczki.

Miljony jednak, przeznaczone na rzecz „zagrożonych prowincyj wschodnich", zostaną mimo to wyasygnowane!

⁂

Z Indochin donoszą o krwawych starciach policji z Annamitami. Ze stutysięcznego pochodu aresztowano 15 tubylców; trzech zostało przytem zabitych, a 2 ranionych.

⁂

Władze sowieckie na Ukrainie, z uwagi na wzrastającą coraz akcję powstańczą, zarządziły sporządzanie na wsiach list proskrypcyjnych. Wciągnięci na te listy traktowani będą jako zakładnicy, odpowiedzialni za każde wystąpienie terytorjalne w danej miejscowości.

⁂

Centralny komitet partji komunistycznej uchwalił budowę wielkich fabryk metalurgicznych na Uralu, elektryfikację i rozbudowę sieci kolejowej. Świadczy to, że Sowiety przygotowują się do ekspansji gospodarczej w Azji, wycofując się jednocześnie z inwestycyj gopodarczych na Ukrainie.

⁂

Drogą na Bukareszt otrzymano w Warszawie wiadomość o intensywnem fortyfikowaniu Kijowa przez władze sowieckie. Rozpoczęto tam budowę łańcucha fortów, otaczających miasto w promieniu 15 km., oraz żelazo-betonowych schronów przeciwgazowych. Fortyfikację tę ludność tłumaczy sobie pojawieniem się oddziałów partyzanckich, liczniejszych i silniejszych, niż w r. 1926.

⁂

Głośny zbrodniarz, zwany wampirem z Düsseldorfu, został aresztowany w tem mieście. Jest to, jak się okazuje, dorożkarz Kürten, którego skonfrontowano już z dwiema niedoszłemi jego ofiarami i poczęto przesłuchiwać; przytem psychjatra sądowy ma zbadać stan umysłowy mordercy.

⁂

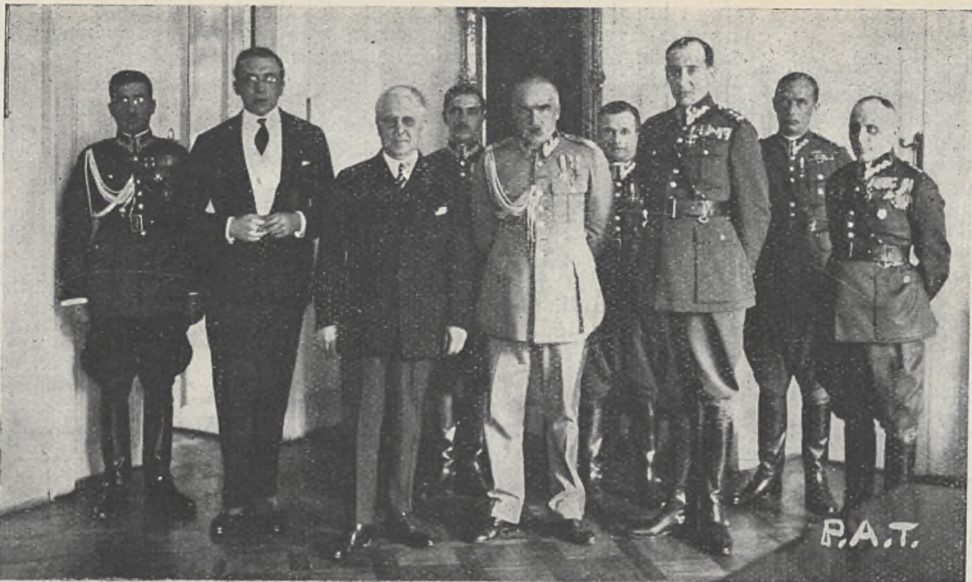
Armja nankińska w Chinach została pobita przez armję północną i cofa się w popłochu. Gen. Czang-Kaj-Szek jest podobno raniony.

⁂

Naczelnik sowieckiej akademji wojennej, Szefers, oświadczył na konferencji organizacyj komunistycznych leningradzkiego okręgu wojennego, że w wojsku sowieckiem działają rozkładowe żywioły opozycyjne. Żołnierz wskutek częstego wiecowania zaniedbuje ćwiczenia i nie dba o podniesienie zdolności bojowej wojska.

⁂

Powstanie w Azerbejdżanie przeistoczyło się podobno, jak donoszą drogą na Persję, w prawdziwą wojnę z Sowietami. Powstańcy zdobyć mieli miasta Zakataly, Szeki i Agaszen i wytrzymują już od 2 tygodni oblężenie artylerji.



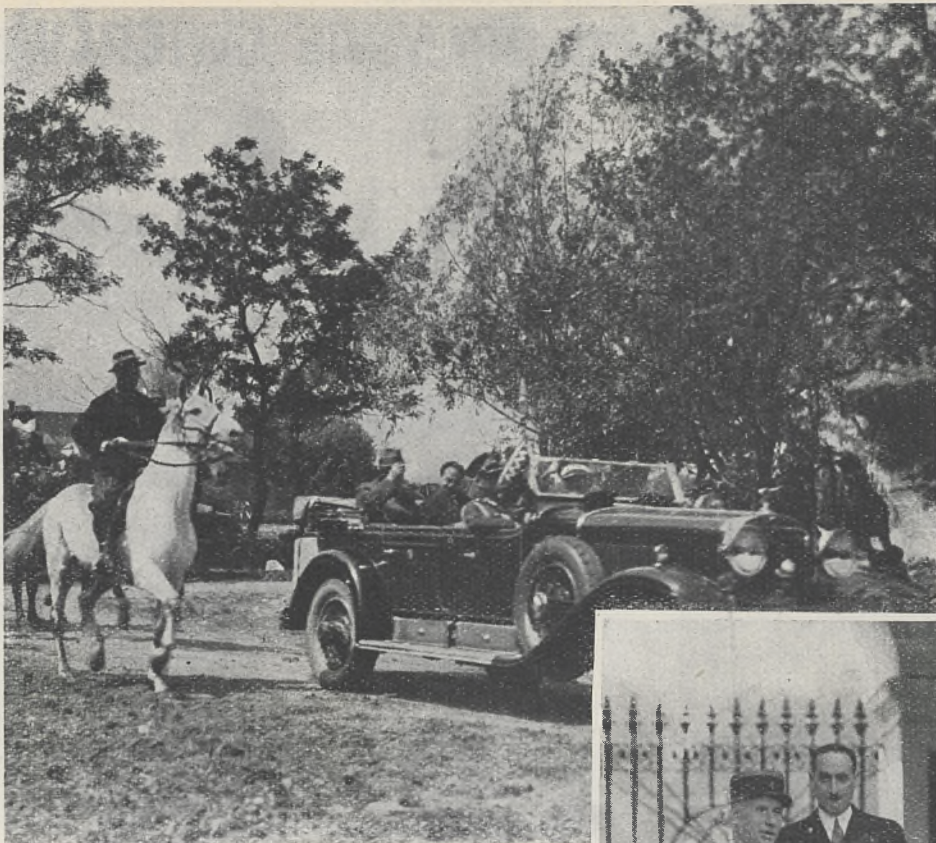
J. E. Ambasador U. S. A., Willys, na przyjęciu u Marszałka Piłsudskiego.


Fotograf uchwycił legendarny wprost uśmiech prezydenta Doumergue'a.

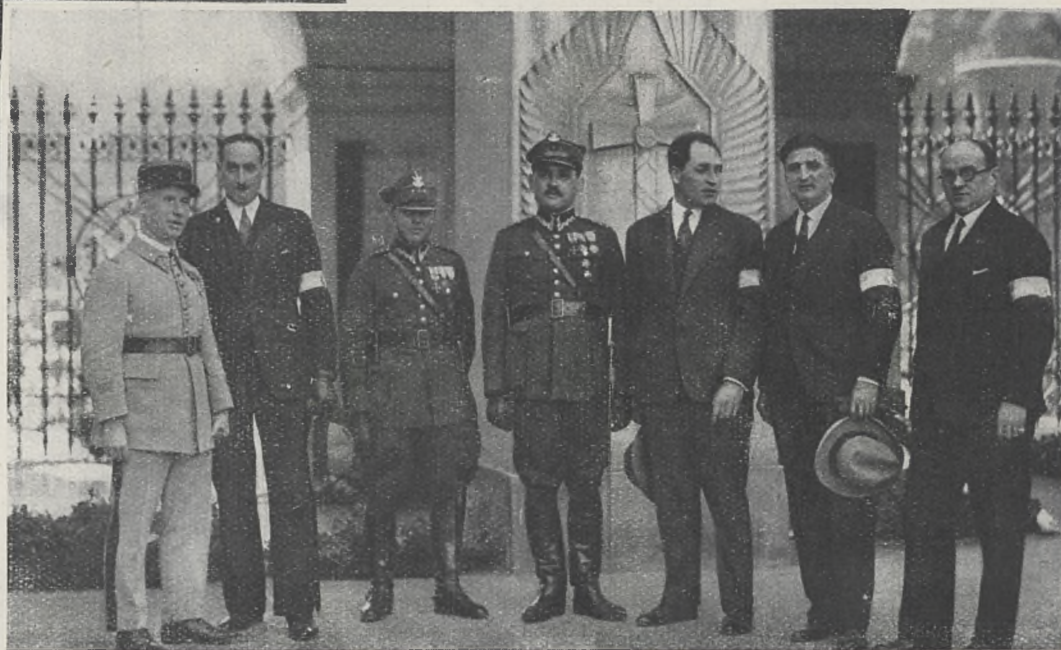

Kontr admirał amerykański Andrew T. Long objął stanowisko prezesa międzynarodowego biura hydrograficznego w Monte Carlo, założonego przez księcia Ludwika.


Inżynier radjotechnik P. T. Russel został wyróżniony za dokonanie wynalazku megafonu podwodnego, pozwalającego na komunikowanie się z submarynami.


Dzielna lotniczka, miss Amy Johnson, w Indjach.







Pan Prezydent Rzeczypospolitej w swej podróży po województwie warszawskiem był odprowadzany przez banderję chłopską.

Dnia 31 maja, w imieniu uczestników wielkiej wojny, kpt. Genay, przedstawiciel stowarzyszenia „Croix de Feu" złożył wieniec na Grobie Nieznanego Żołnierza.

Wiceprezes aeroklubu niemieckiego, von Hoeppner, przybył w tych dniach do Warszawy (na prawo u góry).

ANTONI BOGUSŁAWSKI.

PO UPŁYWIE ĆWIERĆWIECZA



Moment wbijania gwoździ w drzewce szkolnego sztandaru.



Obecni wychowankowie szkoły składają wieniec na grobie Nieznanego Żołnierza.

Zjazdy koleżeńskie miewają swój szablon, tylekroć wyśmiewany, choć największy kpiarz nie potrafi nigdy oprzeć się pewnej melancholji, że to znów tyle a tyle lat przemknęło, że to już bliżej na tę, a raczej na tamtą stronę... A tu, tymczasem, ten zjazd nie miał ani szablonu, ani melancholji....

Nie miał szablonu, bo był zasadniczo ponad szablonem. Dwudziestopięciolecie *pierwszej* po latach ucisku szkoły polskiej nie mogło być podobne do innych zjazdów koleżeńskich. Program musiał być obfitszy, barwniejszy, ba — buńczuczniejszy. Dlatego też miejsca zabrakło na melancholję. Zresztą, z tą przywarą zjazdową rozprawiono się prewencyjnie. Poprostu — odmłodzono zjazd.

Kim? — młodzieżą. Rzucono pomost „między nowemi a dawnemi laty". Do klas, do kaplicy, na boisko „błękitnej" szkoły imienia Zamoyskiego sproszono młodzież tej szkoły, zmieszano gruntownie starych „Chrzaniaków" z „Zamoyszczakami"— i wynikł z tego doskonały konglomerat. Ale *ab ovo*.

Ideą zjazdu było nawiązanie tradycji między dawnem gimnazjum generała Pawła Chrzanowskiego, o którem wspomnienia podawaliśmy niedawno i dajemy w dzisiejszym numerze, a nowem, w tych samych murach gimnazjum imienia Zamoyskiego. Stąd wynikł plan i program, wypracowany do najdrobniejszych szczegółów ręką tyrana zjazdowego, kolegi Bronisława Mańkowskiego. Ten tyran okazał się bez litości. Rozbił całość na minuty, wszystko przewidział, wszystko zarządził. I przez to wszystko się udało. Aniśmy nie wiedzieli, jak świetnego organizatora mamy między sobą.

Zaczęło się o wpół do dziewiątej zbiórką w szkole, gdzie od pół godziny działało już biuro zjazdowe. W kwadrans potem — dzwonek. Na środek sali gimnastycznej wychodzi grubszy nieco, niż dawniej, ale równie żywy i zawadjacki Mel Wańkowicz i mówi „do dzwonka". „A dzwonek do niego ani razu", bo umilkł, jak na komendę.

Kilku starych, spóźnionych (to też tradycja) wsuwa się do sali. Nie czas na wymówki. Do kaplicy!

W kaplicy — tłumno. Przy ołtarzu — najstarsi: profesorowie, rodzice. Sztandar szkolny, harcerski, korporacji „Aquilonia". Na ambonie — dawny prefekt ks. kan. Jamiołkowski. Przy ołtarzu — komuż nie znany, z dawniejszego czy obecnego pokolenia, serdeczny przewodnik młodzieży ks. kan. Marcin Szkopowski. Aspersja. Kazanie. Z chóru rozbrzmiewają głosy młodzieży hymnem „Bogarodzica" oraz „Pod Twoją obronę". Organy, wiolonczela, śpiew solowy — koledzy Michałowski, Gocławski, Narożny, wielcy i znani artyści.

Ks. Szkopowski przemawia krótko i jędrnie. Spada zasłona z tablicy ku czci poległych. Odczytanie aktu erekcyjnego — i minuta milczenia. A potem kaplica wybucha pieśnią: „Boże, coś Polskę..."

Ileż to razy śpiewaliśmy ją tam, nawet za dawnych lat, odkąd błogosławiona szkoła polska, przyjęła nas w rodzicielskie ściany, w których nie było zdrady! I dlatego tablica ta ma tyle imion. A jeszcze nie wszystkie; jeszcze brakujące dokuwać będą.

Zbiórka na boisku szkolnem. Klasami ustawiona szkoła, po bokach — hufiec przysposobienia wojskowego pod bronią i drużyna harcerska. To ich święto, ich uczczenie.

Na trybunie staje Juljan Ejsmond. Swobodnie, wesoło, słonecznie mówi do profesorów. Po nim przemawia Antoni Bogusławski, składając odznaką zjazdową na sztandarze szkoły. Taką odznaką dekoruje się wszystkich uczniów. Odtąd starsze i młodsze pokolenie stanowi jedną korporację, splecioną nicią umiłowania murów szkolnych, a poprzez nie — umiłowaniem Polski.

Czwórkami, z orkiestrą na czele, idzie długi, parotysięczny pochód przez miasto, ściągając na się zdumione oczy przechodniów. Co to? Zjazd koleżeński, a taka różnica wieku? Dostojnie migają tu i ówdzie mundury oficerskie, generalskie zygzaki. Tak — szkoła nie chowała się za piec w czasie wojny.

Wieniec na grobie Nieznanego Żołnierza składają: generał dywizji Tadeusz Piskor, szef sztabu głównego, i Janusz Śliwiński, uczeń klasy ósmej. A teraz na akademję do Ratusza.

W prezydjum honorowem zasiadają *honoratiores* — kolejni dyrektorzy szkoły, profesorowie, opiekunowie. Prezydjum czynne składa się z przedstawicieli roczników maturalnych. Przewodniczy dr. Czesław Wroczyński.

Po przemówieniach powitalnych — trzy krótkie referaty. Adw. Franciszek Paschalski mówi o czasach przed strejkiem szkolnym. Adw. Stefan Urbanowicz — o szkole polskiej. Dyr. Stefan Szwedowski — o ideologji młodzieży po roku 1905. Następuje wybór delegatów na wielki zjazd październikowy obchodu 25-lecia szkoły polskiej. Zjazd wysyła depeszę do Prezydenta Rzeczypospolitej oraz uchwala rezolucję w sprawie przyznania wykładowcom prywatnych szkół polskich z okresu 1905—1915 emerytur państwowych i kilka drobniejszych postanowień.

Po przerwie — część koncertowa. Rozpoczyna ją prologiem, poświęconym pamięci poległego żołnierza-poety Stanisława Długosza, Antoni Bogusławski. Prof. Zbigniew Drzewiecki z maestrją gra Chopina. Śpiewa Narożny arję ze „Strasznego dworu". Potem Tadeusz Frenkiel deklamuje utwory poetyckie Antoniego Bogusławskiego i Juljana Ejsmonda. Gocławski gra na wiolonczeli. Wreszcie Ejsmond sam, przy niemilknących oklaskach, wygłasza dwie swoje bajki, a Frenkiel raz jeszcze czaruje wszystkich recytacją. Akompanjuje cały czas niestrudzony Michałowski.

Akademja skończona. Sypią się składki na szkoły polskie na obczyźnie. Przerwa do dziewiątej wieczór, poczem ma się odbyć bankiet koleżeński w Dolinie.

Odbył się przy kilkuset uczestnikach, trwał do drugiej w nocy



Ks. kanonik Marcin Szkopowski.

i, jeżeli to możliwe, utrwalił jeszcze dobry nastrój i serdeczną wesołość.

Wysłuchano licznych przemówień, oklaskiwano gorąco sędziwych profesorów, pito ich zdrowie, nie zapominając o nieobecnych. Byli szczęśliwi, których podnoszono do góry; byli szczęśliwi, których nie upuszczono. Zapewne, wrócono późno do domów.

I we wszystkich sercach, wśród tlących się wspomnień przeszłości przebłyskał jasno płomyk teraźniejszości. Szkoły polskiej tryumfującej, ojczyzny wolnej, Polski — da Bóg — poprzez przeciwności i mimo nich wzrastającej w moc i potęgę.

A jeżeli komukolwiek się zdaje, że zjazdy koleżeńskiej, nawet bez wielkiej rocznicy — to rzecz sztuczna, niepotrzebna i zbędna, że nic nie przynoszą umysłom i sercom, ten niech posłucha.

Do jednego z kolegów podszedł drugi, zapomniany i prawie nieznany. Coś ma najwidoczniej na sercu, czegoś czerwieni się i drży. „Kolego, wybaczcie: wtedy zrobiłem wam wielką krzywdę...." Co? Skrzywdzony nie przypomina sobie. Wreszcie przebłysk pamięci.. Prawda!...

Skończyło się na serdecznym uścisku.

Może mogło się bez tego obyć, bo lata, zarówno bólom, jak radościom, przynoszą przedawnienie. Ale czy nie lepiej, że stał się ten akt pokuty i akt odpuszczenia, bez których niema prawdziwej harmonji serc?

Powiedzcie: nie! — jeżeli macie odwagę.

A przytem tylko z komunji serc urosnąć może wielka i niezłomna Polska.

*

Powiadają, że liczne grupki kolegów do białego rana biesiadowały jeszcze w różnych lokalach warszawskich...

Było tak istotnie, gdyż niepodobna wyczerpać nawet w ciągu kilkunastu godzin, spędzonych razem, tak wielu tematów, jakie się cisną do głowy, a któremi każden rad się podzielić z bliskim przyjacielem. Dyskutowano serdecznie, a poważnie, wiele nawiązano ciekawych kontaktów, które niewątpliwie nie mało przyniosą pożytku i dadzą możność zrealizowania nie jednej cennej sprawy.

Zjazd wychowańców gimn. Chrzanowskiego otwiera serję podbnych obchodów które odbywać się będą w różnych miastach Polski, przyczyniając się do pogłębienia w społeczeństwie poczucia jedności.

A w jedności — siła...

KOLEGOM POLEGŁYM
ZA OJCZYZNĘ
1914 – 1921
KAZIMIERZ CICHOWSKI
STANISŁAW DŁUGOSZ · MARCELI
DRABICH · JAN DWORZACZEK
STANISŁAW JAXA-CHAMIEC
WINCENTY KOMINEK · KRZYSZTOF
KOWERSKI · WOJCIECH KUNICKI
STANISŁAW KRUSZEWSKI · WA
CŁAW KWIECIŃSKI · ADAM
LEŚNIEWSKI · ZDZISŁAW SA
WICKI · KS. IGNACY SKORUPKA
EDWARD SZYDEŁKIEWICZ ·
ALEKSANDER ZAWADZKI
WACŁAW VORBRODT ·
WŁADYSŁAW MOSZCZYŃSKI
MICHAŁ SZUMIEL ·
STANISŁAW BROSZKIEWICZ
ZYGMUNT JAGIEŁŁO
BOLESŁAW SKARZYŃSKI
1930
W ROKU DWUDZIESTOPIĘCIOLECIA
SZKOŁY POLSKIEJ
DULCE ET DECORUM EST
PRO PATRIA MORI!

Ś. † P.
STEFAN GOSIEWSKI
UCZEŃ KL. VI. UR. w DN. 2-VIII-1905 R.
ŻOŁNIERZ · OCHOTNIK w OBRONIE OJCZYZNY
ZGINĄŁ W BITWIE pod ŁAPAMI
w DNIU 30 LIPCA 1920 R.
CZEŚĆ JEGO PAMIĘCI

Tablica pamiątkowa poległych Chrzanowiaków.



Grupa profesorów i rodziców na dziedzińcu szkolnym.

Na lewo: „Słaba płeć" (Teatr Polski)
Na prawo i w środku: „Papa" (Teatr Mały)



Pp. Macherska, Kuncewiczówna i Wesołowski

P. Pancewiczowa



P. Leszczyński.



Pp. Romanówna i Daczyński



P. Jarkowska (fot. Brzozowski)

Teatr Polski

Jestem innego zdania o sztuce, wystawionej świeżo w teatrze Polskim, niż niektórzy moi koledzy po piórze. Nie wzdrygałem się bynajmniej na „Słabej płci" Bourdeta.

Nie zgadzam się, aby w niej było co wstrętnego. Uważam, że nasi rodzimi autorowie dramatyczni często wywlekają o wiele większe brudy, niż ich bardziej utalentowany francuski kolega. I niepotrzebnie dyrekcja się przeraziła i sztukę „stonowała". Mojem zdaniem, autor jest znakomitym obserwatorem i świetnie podpatrzył zjawisko, zresztą, nie nowe, lecz raczej jego najnowszą postać. I jeżeli wystawienie tej sztuki również skłonny byłbym może kwestjonować, to tylko dlatego, że jednak to wyrafinowanie w tak dalekim stopniu jeszcze do nas nie dotarło, a pewno nieprędko dotrze z powodu panującego u nas... nadmiaru braku „forsy", bądź co bądź do tych wszystkich machinacyj wielce niezbędnej. Więc nie wszyscy potrafią ocenić należycie cały „smak" tej sztuki, koncertowo zagranej przez cały zespół z pp. Pancewiczową, Maszyńskim, Grabowskim, Mierzejewskim i Wesołowskim na czele.





Pp. Runowiecka oraz Xenia Grey i Laskowski w świeżo otwartym „Ananasie".
Należy się spodziewać, że z tego owocu nie stanie się inny, równie egzotyczny, a mianowicie — figa, przeciwnie, że uda się dyr. Jastrzębcowi na tym „A n a n a s i e" zrobić.., kokosy.

„Wesoły Wieczór"

Bardzo wesoło jest w „Wesołym wieczorze" co wieczór. I pełno. Warto bowiem wydać na tramwaj 25 gr. lub nawet na taksówkę dziesięć razy więcej, aby dotrzeć na Chłodną, ale zato człowiek za „jedne sześć złotych" siedzi sobie w pierwszym rzędzie i ma przyjemne uczucie, że niczem się nie różni od multimiljardera amerykańskiego, bo ten też bliżej, niż w pierwszym rzędzie usiąść nie może.

A na scenie występuje mnóstwo artystów, przeważnie, coprawda, trochę za starych lub trochę za młodych, ale są i w średnim wieku, którzy również nie mogli się gdzieindziej zaangażować. Ponadto zaś jest Koszutski ze swemi „girlsami", które prawdopodobnie wszystkie muszą być córkami architektów, tak cudnie są zbudowane, a tańczą niekiedy też wcale nieźle.

Przy tem wszystkiem zaś: kupa śmiechu i zabawa, wyrażając się stylem „tamtejszym": — „bycza", „klawa" i „morowa". Już sam tytuł bieżącej rewji p. t. „Czy pani lubi bez..." jakież rozległe pole daje do dowcipów jurnych a jędrnych z dziedziny boyowskiego „względem tego, co i owszem"...

Henryk Liński

MIŁOŚĆ I MAŁŻEŃSTWO

(Dokończenie ze str. 4-ej)

jest najmocniejszym kapitałem każdej spółki: charakteru. Ale na to nic poradzić nie można — zwłaszcza zgóry. Któż bowiem wie, co będzie za rok, czy dziesięć lat? Gdyby chciało się tego uniknąć, należałoby walczyć z instytucją małżeństwa wogóle.

Wreszcie, jeżeli małżeństwo zostało zawarte, tak, czy inaczej, z miłości, czy z przekonania, najlepiej, aby nikt nie pomagał „żyć" obojgu, nie uczył ich nie wtrącał się w każdą sprawę. Teściowe i teściowie mają zawsze dość własnych zmartwień, nich więc nie martwią się o dzieci i nie szukają dziury w całem. Naprzykład, jeżeli młoda synowa zdradzi zupełnie zrozumiałą niekiedy lekkomyślność — już matka stara się zrazić syna do żony. Jeżeli zaś mąż nie zarabia tyle, ileby należało, to rodzice żony tak długo przekonywują córke o niedołęstwie i lenistwie jej małżonka, aż ona w końcu uwierzy w nie mocno — a skutki dają się bez trudu przewidzieć. Potem zaczyna się rodzicom nie podobać traktowanie żony przez męża i naodwrót. Wreszcie jedno, albo drugie, nic dotychczas nie wiedzące o nieszczęściu, przekonywa się, że jest nieszczęśliwe w małżeństwie. Dochodzi do scysji i scen, a miłość naturalnie znika bez śladu. A jeżeli wszyscy nie zajmują się zbytnio młodem małżeństwem, znajduje sobie ono własny „modus vivendi" i prawie zawsze żyje doskonale. Błędy, jakie jedno popełnia — drugie wybacza, ponieważ samo nie jest od nich wolne. Wyrozumienie jaknajdalej idące, szczerość, współmierność umysłu i trochę serca — a małżeństwo okazuje się trwałem, pogodnem i szczęśliwem. Naturalnie, że w każdem małżeństwie zdarzają się różnice zdań, nieporozumienia, sprzeczki nawet, ale wobec prawdziwego uczucia znikają one równie prędko, jak powstały — miłość łączy wszystko. A tylko rzeczą rodziców i „opiekunóów" jest, aby różne przykrości, waśnie i nieprzyjemności zostały małżeństwu oszczędzone.

E. S.

Szarady qui pro quo

I.

Rączy rumak, *piąty*, tak zwan przez Germanów,
Nie znosi na swym grzbiecie przyziemnych profanów;
Gdy jednak *czwarty-piąty-szósty* go dosiędzie,
Trzeci z dumą wydaje, bo finish zdobędzie!
Pierwszy bowiem z literką trzecią abecadła
Nie trzyma się pegaza grzywy ni imadła,
Ale z bicza trzaska, pędząc poprzez burze
Siłą genjuszu ku ognistej górze.
Pierwszy-drugi-trzeci z wonną różdżką kwiatu
Zdobył serca nasze i laur Monsalvatu.
Całego szukaj blisko, nie błądź po Parnasie,
Nie znajdziesz go też nigdy w teatralnej kasie,
W świątyni sztuki zato... tam... na prostej desce
Skrą swego humoru rwie... po jednej łezce.

II.

Idzie sobie drożyną przez *trzecie-drugie* bosa,
Pierwsza-druga tęczowa jak poranna rosa,
Niesie naręcz kwiateczków uwitych z łąk srebrzystych,
Wpina okiść fijołków do wstążek wzorzystych.
Idzie, idzie samotna, gdzie *czwarty pięć* już minął,
Pierwszy-piąty pod nóżką jeszcze nie zaginął,
Jeden tylko przyjaciel dzieli los jej dnia tego,
Druga-szósta z kokardą i z Zakopanego.
Kto tę szaradę z publiczności zgadnie,
Ani jeden włosek z głowy mu nie spadnie.

*

Termin nadsyłania rozwiązań upływa z dniem 16 czerwca b. r.

*

Za rozwiązanie redakcja przeznacza trzy nagrody, przyznane drogą losowania. Pierwsza: 2 bezpłatne bilety do teatru „Qui-pro-quo", druga, trzecia i czwarta — po jednej książce

Les Croix de feu...

Przed kilkoma dniami grupka Francuzów, zamieszkałych w Warszawie, pp. Asama, Amblard, Neumann, Raffy i Driant, b. oficerowie armji francuskiej, a jednocześnie nasi towarzysze broni, korzystając ze sposobności pobytu w naszej stolicy prezesa Stowarzyszenia "Croix de Feu", p. Maurice Genay — złożyła wieniec na grobie Nieznanego Żołnierza.

Les Croix de Feu — cichemu Bohaterowi naszemu...

Bracia nasi — naszemu Bratu....

Niechże choć opowiedzeniem o Nich — dzielnych wiarusach, zjednoczonych pod znakiem Croix de Feu — odwdzięczę się za ten gest szlachetny, za szczerą przyjaźń, którą nas darzą.

— Organizacja nasza — opowiada mi p. Maurice Genay — powstała przed paroma laty i jednoczy już około 15.000 b. kombatantów, odznaczonych za akcję bojową krzyżami waleczności, zdobytemi w ogniu — Croix de Feu. Obok nas, odznaczonych — figurują również i tacy, co mogą wykazać, iż tam, na froncie, byli razem z nami, a że nie zostali wyróżnieni, z pośród szarego tłumu żołnierzy — toć przecież obojętne, toć zwyczajnie, jak na wojnie, gdzie nieznani bohaterowie równą ponieśli zasługę z wodzami, których nazwiska zostały przekazane historji. Ta kategorja członków naszych nosi miano „Briscards" (od wyrazu „brisque" — kąty za udział w kampanji. Przyp. Red.). W jakim celu zorganizowaliśmy się? Czyż nie dosyć było organizacyj, do których dotychczas byliśmy zapisani? Nie. Ludzie, którym, jak nam, nikt zaprzeczyć nie może, iż Czynem dowiedliśmy, jak głęboko miłujemy naszą Ojczyznę i że do czynu w Jej obronie zawsze jesteśmy gotowi — nie mogli patrzeć z założonemi rękami, jak w niwecz obracają jedną po drugiej zdobycze Wielkiej Wojny i jak przekreślają gwarancje, mogące zapewnić trwały pokój. Zjednoczeni pod hasłem braterstwa broni, daliśmy sobie słowo, iż czuwać będziemy, aby ciężkie doświadczenia z 1914 r. nie mogły nam znowu zagrażać, bronić pragniemy Ojczyznę naszą przed zakusami wroga zewnętrznego i wewnętrznego, usiłującego rozerwać jedność narodową, wzniecić rewolucję i zburzyć najpiękniejszy dorobek wiekowej naszej kultury. I wiemy, że aczkolwiek egzystujemy od niedawna, to jednak ze zdaniem naszem już liczą się poważnie. A gdy wychodzimy na ulice w karnych szeregach, w których obok generałów i pułkowników, kroczą zwykli poilus — czujemy, że serca wszystkich, którzy miłują Ojczyznę, biją jednem tętnem z naszymi — że Czyn przecież większą cieszy się sympatją od matactw rozpolitykowanej bandy, gotowej przefrymaczyć wszystko, co zostało okupione krwawą ofiarą.

Organizacja nasza wzrasta liczebnie z każdym dniem. Najpoważniejsi wodzowie — ci z nich, oczywiście, co podobnie, jak my, już przeszli „do cywila", zapisali się do nas. A więc Pétain, Lyautey, Mordacq i wielu, wielu innych. Cudzoziemcy, którzy służyli pod naszemi sztandarami ,mogą również wstępować do organizacji.

Celem propagowania naszej idei i zapisywania postępów naszej organizacji założyliśmy organ prasowy „Le Flambeau".

I działamy... A gdy groza niebezpieczeństwa zawiśnie — nie daj Boże — nad nami — Ojczyzna może być pewna, że zastanie nas zawsze gotowych do Czynu.

Oto wszystko — konkluduje p. Maurice Genay — i poznawszy Was bliżej, życzyć Wam mogę, abyście i Wy pomyśleli o stworzeniu podobnej organizacji.

Un pays où les honnêtes gens n'ont pas autant d'audace que les coquins est un pays perdu...

ROZRYWKI UMYSŁOWE

TURNIEJ SZACHOWY O MISTRZOSTWO WARSZAWY.

Dokładne wyniki cyfrowe zamieszczamy poniżej. Obecnie możemy już omówić grę poszczególnych uczestników. Zwycięzca turnieju, mistrz Frydman, zupełnie zasłużył na osiągnięty wynik. W szeregu partyj przejawił on swój talent kombinacyjny, idący w parze z głębokiem zrozumieniem pozycji. Frydman nie omija żadnej okazji osiągnięcia ataku, ale prawie nigdy nie daje się przytem wytrącić z równowagi pozycyjnej. W tym turnieju grał on z wielkiem opanowaniem i zwyciężał w sposób przekonywujący. Mistrz Łowcki rozpoczął turniej przegraną z Blassem, a potem zabłysnął całą serją bardzo pewnie wygranych partyj. W sumie grał on lepiej, niż w szeregu ostatnich turniejów. Szkoda, że świetnie rozegranej partji z Jagielskim nie udało mu się wygrać, gdyż niewątpliwie przesądziłaby ona o losie nagrody za najpiękniejszą partję w turnieju.

Mistrz Makarczyk potwierdził opinję o swojej żelaznej rutynie, która pozwoliła mu na zdobycie doskonałego miejsca pomimo gry bezbarwnej i jałowej. Dopiero w złych pozycjach dokazywał on cudów i ratował partję albo nawet wygrywał dzięki „peszeniu się" niedoświadczonych przeciwników. Mistrz Kremer grał tak, jak zwykł grać mistrz Kremer, to jest na wygraną za wszelką cenę w pozycjach lepszych, równych i gorszych nawet. Tym razem zeszłoroczny mistrz Warszawy nie odbył tryumfalnego pochodu i musiał odstąpić swój zaszczytny tytuł bardziej zasłużonemu konkurentowi.

P. „Alfa" grał bardzo dobrze i wykazał dosyć duże postępy od czasu ostatniego swego występu w Warszawie. Gdyby nie pewne niezdecydowanie i nieśmiałość w decydujących momentach, mógłby on nawet osiągnąć lepszy punktowo wynik i bardziej zbliżyć się do czołowej czwórki.

P. Najdorf rozegrał znakomicie partję z Blassem, ale w rozstrzygającej chwili nieomal zapomniał zamatować przeciwnika i nawet przegrał (wskutek nieopanowania nerwowego). Ma on wielką przyszłość przed sobą, ale musi nauczyć się grać spokojnie. Pozatem walczył on bardzo ostrożnie i przegrał oprócz opisanej tylko jedną partję.

P. Glotzer zdobył piątą nagrodę, co stanowi bardzo poważny sukces dla młodego szachisty. Wyprzedził on przytem o ½ punktu utalentowanego p. Najdorfa oraz niejakiego „Alfę", gracza lepszego od wszystkich drugorzędnych, natomiast gorszego od wszystkich pierwszorzędnych szachistów warszawskich. Ze wszystkich młodych graczy, debiutujących w tym turnieju, jedynie Glotzer i Najdorf wykazali się niezbędną z punktu widzenia klasyfikacji trzecią częścią możliwych do zdobycia punktów.

Pp. Glotzer i Najdorf uzyskali w wyniku tego turnieju tytuł graczy I kategorji. P. Blass wystąpił z turnieju bez powodów, co powinno pociągnąć za sobą przykre dla niego konsekwencje. P. Jagielski grał bardzo dobrze, ale wyjątkowo nieszczęśliwie. Przebieg jego partji przeciwko biorącym udział w turnieju mistrzom pozwala stwierdzić, że zrobił on znaczne postępy i jest kandydatem na „pierwszoklasistę". P. Feinmesser grał bardzo słabo. Pp. Czerniak i Dobrzański nie okazali się jeszcze na poziomie zadania. Zwłaszcza p. Czerniak (któremu 40 posunięć wystarcza do przegrania 3-ch partyj), ujawnił słabą klasę gry i niepoważny stosunek do gry w turnieju. Decydującą o I-ej nagrodzie partję z mistrzem Frydmanem p. Czerniak przegrał w 8 posunięć, podstawiając bezmyślnie figurę. P. Dobrzański rozegrał dobrą partję z Jagielskim. Kierownictwo turnieju spoczywało w rękach niedoświadczonych (nomina sunt odiosa!) i niezbyt liczących się z regulaminem turniejowym. Dodać należy, że turniej był poświęcony pamięci pierwszego prezesa Polskiego Związku Szachowego ś. p. Józefa Żabińskiego.

TURNIEJ SZACHOWY

o tytuł mistrza Warszawy na r. 1930.

Wynik turnieju był następujący:

I nagroda i tytuł mistrza Warszawy na r. 1930 mistrz Paulin Frydman — 9 i pół punktów z możliwych 11.

II nagroda — mistrz K. Makarczyk — 8 punktów.

III nagroda — mistrz Kremer — 7 i pół punktów.

IV nagroda — mistrz Łowcki — 7 punktów.

V nagroda — p. Glotzer — 6 punktów.

VI i VII nagroda — pp. Najdorf i Alfa — po 5 i pół punktów.

VIII miejsce — mistrz Blass (wycofał się przed ukończeniem turnieju) — 4 i pół punktów.

IX i X miejsce — pp. Feinmesser i Czerniak — po 3 i pół punkt.

XI miejsce — p. Jagielski — 3 punkty.

XII miejsce — p. Dobrzański — 2 i pół punkty.

WIZYTÓWKI FILMOWE

I.

Gardzę robieniem efektów, tandetą artystyczną, genjalnie amantki, romansów bohaterki odgrywam.

II.

Ekranu mam intuicję, ludzkie ja ambicje, niedole naśladuję i nadzwyczajnie gram starców.

ROZWIĄZANIE

„Jajka Kolumba" z N-ru 18. Należy połączyć dwa jajka wzdłuż osi zapałką lub pręcikiem, łącząc je oczywiście jednakowemi koncami (ostremi lub tępemi).

NAGRODY

Za rozwiązanie powyższych dwóch wizytówek przeznaczamy do rozlosowania 5 nagród w postaci książek beletrystycznych. Termin nadsyłania rozwiązań do dn. 18 czerwca b. r.

NAGRODY

za rozwiązanie krzyżówki z N-ru 17 otrzymują (w wyniku losowania) po jednej książce beletrystycznej: pp. Władysław Szczepański, Stanisławów, ul. Słowackiego 11, Franciszek Litwiński, Lublin, ul. Narutowicza 47 m. 8, Janina Zatorska w Warszawie ul. Czackiego 3-5, „Przegląd Ekonomiczny", Wacław Matus, Warszawa, ul. Bednarska 6 m. 78, F, Szymczak, Zgierz, ul. Szeroka 8.

O tych, którzy nas bawią

Cyrk, to słowo, które od naszej najwcześniejszej młodości materjalizowało się zawsze w obraz dużego, niemal niebosiężnego budynku, w środku którego na piaskiem posypanej arenie, pokazywano nam nadzwyczajne cuda. I zawsze na myśl o cyrku, zjawiał się przed nami, nieodłączny jego mieszkaniec, clown, zwany pogardliwie błaznem. Gdyby w programie nie został uwzględniony przynajmniej jeden występ clownów, czulibyśmy zawód i żal do dyrekcji cyrku, uważalibyśmy się za oszukanych. Nie pomogłyby żadne „niewidziane nigdzie i krew w żyłach mrożące" numery; najpiękniejsze konie i najzręczniejsi gimnastyci nie cieszą się taką popularnością, jak groteskowa, niezgrabna, karykaturalna sylwetka clowna, czyniąca przedziwne grymasy i niekoniecznie dowcipne dowcipy.

Istnieli jednak clowni, którzy, wykorzystując swoją pozycję, urzędowo niemądrego wesołka, sypali złośliwie ludziom w oczy prawdę. Łatwe to było do przełknięcia i podane w tak pełnej głupawego komizmu formie, że nikt z widzów nie czuł się obrażonym, często nawet nie rozumiał ironji, zawartej w pokracznych słowach i ruchach. Zdarzało się jednak, że zbyt odważnie clown pozwalał sobie na arenie, co było później powodem interwencji władz policyjnych.

Przed kilkoma laty zmarł znany rosyjski polityczny clown, Anatol Durow. Będąc człowiekiem o uniwersyteckiem wykształceniu, Durow, sypał satyrami politycznemi, jak z rękawa, ośmieszając i wydrwiwając znane figury polityczne i policyjne. Był on ulubieńcem studentów, którzy przychodzili co wieczór do cyrku i wyprawiali mu spontaniczne manifestacje. Musiano mu płacić jego gażę z góry, ponieważ zwykle, po kilku przedstawieniach, był administracyjnie wysiedlany z miasta. Rząd bolszewicki wykorzystywał Durowa dla swych przedstawień propagandowych, dodając mu do dyspozycji całą menażerję, potrzebnych tresowanych zwierząt.

A oto kilka najbardziej udatnych kawałów genjalnego komika. Wychodzi, naprzykład, Durow na arenę ze świnią i objaśnia publiczności, że jego partnerka odznacza się niebywałą inteligencją, o czem zaraz się przekonają. Poczem zaczyna mówić, do siedzącej na dwuch łapach świni, rozmaitemi językami. Przemawia po francusku, angielsku, włosku, niemiecku i polsku bez żadnego efektu. Skoro jednak przemówił po rosyjsku, świnia zaczęła chrząkać. Kawał ten był demonstrowany w Warszawie tylko 2 razy, poczem Durow został wydalony z „Prywiślinja", za metody, mogące podniecająco wpłynąć na niesforny naród. Przybywszy do Petersburga zachowywał się jakiś czas na arenie zupełnie przyzwoicie, tak, że nadzór, jaki nad nim został rozciągnięty, zniesiono. Korzystając z tego, że dowcipy jego nie były już wysyłane do cenzury policyjnej, wymyślił nowe przedstawienie, za które został wysłany do Kazania, na roczny pobyt. Mianowicie, na partnerów wybrał sobie psa, świnię i wielbłąda. Ustawił ich w jeden szereg, podług wzrostu, i rozpoczął wyliczać po niemiecku. Do psa powiedział: du bist gross (jesteś duży), do wieprza: du bist grösser (jesteś większy), do wielbłąda: du bist am grössten (jesteś największy). Dowcip polegał na tem, że oberpolicmajster Petersburga nazywał się Grösser.



Nowoczesna Cyree

Pewnego razu polecił Durow wymalować na dużem płótnie wnętrze Dumy państwowej. Ustawił to płótno na arenie, poczem wjechał na drabiniastym wozie, pełnym siana. Na zapytanie jednego z lokajów cyrkowych, co ma zamiar z tem sianem zrobić, Durow odparł, że je wiezie do Dumy, ponieważ słyszał, że tam jest najodpowiedniejsze dla siana miejsce.

Każdy z dowcipów Durowa, dobrze przemyślany i świetnie odegrany, zawierał nieraz w najniewinniejszem miejscu ciętą satyrę polityczną, opowiadaną potem w całem mieście.

Prócz Durowa, znani byli przed wojną clowni: Bim i Bom. Ich znowuż specjalnością była muzyka. Wysoce wykształceni — ukończyli obaj konserwatorja — dawali prawdziwe koncerty, posługując się niesamowitemi nieraz a obmyślanemi przez siebie instrumentami. Obecnie słynni są na całą Europę bracia Fratellini i clown Grock.

Należy jednak wszystkich wyżej wymienionych wesołków odróżnić od szarej masy „błaznów", produkujących swe nędzne i monotonne „kawały" w przerwach pomiędzy innemi numerami. Są to ordynarne nieraz dowcipy, polegające w lwiej części na biciu się po twarzy, a przeznaczone dla galerji, która z tego bawi się najlepiej.

Drugą atrakcją każdego cyrku — to występy dzikich zwierząt. Dzikich chyba dlatego, że ród ich pochodzi, a może one same zostały przywiezione w młodości z krajów egzotycznych. Dzikość ich jednak została ujarzmiona. Pobyt w czterech wąskich ścianach klatki, obfite pożywienie, zgiełk, wytwarzany przez grającą orkiestrę, potoki elektrycznego światła, wreszcie dobrze im znany bicz w ręku ich pogromcy, oto czynniki, które wypędziły z nich dzikość, przerabiając je na ospałe, obojętne i apatyczne stworzenia. Razy, jakie im obficie rozdzielano podczas lekcyj, nauczyły je, że trzeba się ugiąć przed wolą tego małego człowieczka w teatralnym stroju węgierskiego huzara. Numery zwierzęce, cieszące się tak wielką frekwencją publiczności, są przeważnie jednakowe i monotonne. Piramidy na podporkach, skoki przez obręcz — oto niebogaty program tego przedstawienia. Bo czegóż można więcej wymagać od zwierzęcia, któremu każą robić coś wręcz przeciwnego jego naturze. Zdarzają się jednak wypadki, że dumny król zwierząt, lew, ocknie się niespodzianie ze swej duchowej drzemki. W jego zwierzęcym mózgu zaświta daleki, mglisty obraz utraconej ojczyzny i swobody. Wtedy biada jego pogromcy. Nie pomoże bicz, ani obficie wydzielony posiłek przed przedstawieniem. Wobec kilku śmiertelnych wypadków z pogromcami, zaczęto stosować środki

(Dalszy ciąg na str. 21-ej)

Walka o dolary

III.

Najciekawszym bodaj okresem kształtowania się stosunków ekonomicznych Stanów Zjednoczonych jest ten, podczas którego Rząd zmuszony był emitować banknoty nie zabezpieczone pokryciem w złocie. Nie chodziło tu bowiem o wahania, na które dolar mógł być narażony poza granicami kraju, nie chodziło również, co nie jest bez znaczenia dla zrozumienia ówczesnej psychologji, o konjunktury handlowe, wywołujące fluktacje na rynku walorów, związanych z handlem, przemysłem lub rolnictwem — spekulacja została rozpoczęta dla gry jako takiej, wbrew interesom państwa i z wciągnięciem w jej orbitę najwyższych dostojników, jak n. p. Prezydenta Granta.

Znany z poprzednich rozdziałów, Jay Gould, stanął na czele tej akcji. Spekulacja została rozpoczęta w r. 1862, t. j. od chwili, kiedy Skarb wypuścił na rynek za 400 miljonów dolarów banknotów, t. zw. „Greenbacksów", opartych jedynie na zaufaniu, jakie naród mógł żywić w stosunku do rządu. Cały naród aliści, idąc za przykładem mafji ze Stock Exchangu (przeniesiono w następstwie te operacje do 3-ch innych lokali) wytężył wszystkie siły i poświęcił wszystkie możliwe środki — oszczędności i kredyt od „brokerów" — w kierunku zdobywania, choćby kosztem zwalczania poczynań państwowych, dolarów. I kiedy całe społeczeństwo zostało zaangażowane do gry, kiedy zdawało się, że najbardziej wpływowi ludzie, przekupieni łapówkami (w formie kredytu na operacje giełdowe) szli na rękę Gouldowi i jego bandzie, nastąpił nagły zwrot. Skarb państwa rzucił ostatnie swe rezerwy na rynek, a złoto, którego kurs z 160 miał się podnieść w jednym dniu do 200 spadł do 135, wywołując ogólną panikę na giełdzie, ruinę kilku poważnych instytucyj bankowych i olbrzymich rzesz ludności, wciągniętej do gry. Dzień ten, 4-go października 1869 r. został zapisany do historji finansów amerykańskich pod nazwą „Czarnego Piątku".

Podobne operacje, acz napozór dotyczyły tylko kursu waluty i złota, związane były z całym szeregiem innych interesów finansowych. Oto naprzykład akcja przedsięwzięta przez Goulda na tak szeroką skalę opierała się na funduszach, które czerpał pomiędzy innemi z emisji akcyj kolejowych Erie. Domyślano się tego, a w sferach finansjery angielskiej, która posiadała poważną ilość obligacyj tego towarzystwa, powzięto plan zniszczenia Goulda i pozbawienia go godności prezesa. Nie obeszło się nawet przy sposobności bez zaatakowania biur towarzystwa manu militari, gdyż Gould postanowił bronić do ostatka tej twierdzy, z której czerpał tak poważne dla siebie zasiłki. Opór wszakże trwał niedługo — Gould poddał się i zasądzono od niego zwrot 13 miljonów dolarów, które, jak się okazało po rewizji księgowości przywłaszczył sobie z kasy towarzystwa.

Czyż jednak człowiek tej miary co Gould mógł tak łatwo skapitulować? W owych czasach, kiedy za podobne postępowanie nie groziła kara więzienia, utalentowany opryszek mógł znaleźć wyjście najzupełniej dla siebie korzystne. I oto rzeczywiście, Gould wnet zaczął działać. Pewnego dnia rozeszły sę pogłoski, iż pragnie oddać zdefraudowane kapitały — a skutkiem tego akcje podniosły się, po paru dniach poczęto zaprzeczać tym słuchom — akcje spadły. Wahania te powtarzały się kilkakrotnie, a Gould, za pośrednictwem swych zauszników kupował po kursie najniższym — sprzedawał po najwyższym ,aż wreszcie, kiedy wniósł towarzystwu za 6 miljonów akcyj, okazało się w samej rzeczy, że wartość ich wynosiła zaledwie 200.000 dolarów.

W ten oto sposób Gould zakończył swą karjerę, pozornie rehabilitowany, lecz znienawidzony przez dziesiątki tysięcy ofiar, które dały się wciągnąć do tej szalonej gry.

Nie wszyscy jednak finansiści amerykańscy mogli liczyć na podobne szczęście. Do kolekcji typów, jak znani nam Little, Draw i Fisk ,dodać należy szereg innych ludzi, wzbogaconych dzięki przypadkowi i zrujnowanych z piorunującą niemal szybkością.

Oto naprzykład karjera takiego Addison'a Jerome'a, który w r. 1854 rozpoczął szereg niesłychanych operacyj, z kapitalikiem wynoszącym 500 dolarów, w r. 1863 został jednym z najgłośniejszych maklerów i zarobił w kilka miesięcy zgórą 3 miljony dolarów — a stracił je w przeciągu tygodnia. Brat jego, Leonard o tyle był szczęśliwszy, że zarobiwszy na własną rękę około 20 miljonów, zdołał ocalić z tej sumy tyle tylko, aby móc skromnie spędzić resztę żywota, którego dokonał w Paryżu.

Wellmann Morse w wieku lat trzydziestu wytrzymał dwie upadłości i dokonawszy jeszcze jednej wielomiljonowej operacji, do której wciągnął kilkanaście banków, upadł definitywnie po roku walki.

Niejaki Jay Cooke mógł się pochwalić większym „sukcesem", gdyż operując 100 miljonami akcyj kolei „Nortern Pacific", wywołał krach, który pociągnął za sobą zawieszenie czynności przez Stock Exhange na 30 dni i upadłość kilkudziesięciu banków — nie mówiąc o setkach tysięcy ludzi, pochodzących przeważnie z klas pracujących, którzy stracili cały swój dorobek.

James Keene rozpoczął spekulację w wieku lat 17-u prawie bez wkładu, gdyż operował wyłącznie na kredyt. Po paru latach już posiadał 13 miljonów. Nie było wprost akcji, lub gatunku towaru, któreby nie dały mu pola do popisu. Stracił cały majątek na olbrzymiej aferze zbożowej.

Henry Villard operował wyłącznie akcjami kolejowemi. Dorobił się również ogromnego majątku i stracił wszystko na jednej, jedynej tranzakcji.

Cyrus Field rozpoczął karjerę handlową od skupowania gałganów, odznaczył się w ciągu życia tem, że dzięki jego inicjatywie założono w Atlantyku pierwszy kabel i dorobił się wreszcie znacznych pieniędzy. Jeśli jednak Cyrus Field mógł być doglądany do ostatniej chwili życia przez lekarza, a rodzina jego nie pozostała w nędzy, to zawdzięczał tylko tę opiekę Pierpont Morganowi.

Russell Sage zarobił 20 miljonów i umarł w nędzy. Syn Prezydenta Granta, Ulisses, zawarł spółkę z James Fishem i Wardem i po szeregu korzystnych operacyj doszli do znacznej fortuny, którą stracili w przeciągu paru dni, w rezultacie czego pasywa ich wynosiły 16 miljonów dolarów, podczas gdy aktywa, acz zapisane przez buchalterję jako 27 milj. nie przenosiły w samej rzeczy kilkudziesięciu tysięcy. Upadłość tej trójki (z których Fish i Ward odsiedzieli karę w więzieniu) wywołała ogólną panikę na giełdzie. W ogólnem zamieszaniu John Ehno, zajmujący stanowisko prezesa Second National Bank zdefraudował z kasy 4 miljony.

Ostatni ten krach z r. 1884 zakończył serję operacyj w większym stylu akcjami kolejowemi — które miały ustąpić miejsca akcjom przemysłowym i zwiastowały nową erę w finansjerze amerykańskiej — okres budowania wielkich trustów.

Okładkę projektował Jerzy Radlicz

BURZA

PHILIPS OPPENHEIM (21)

Streszczenie poprzednich rozdziałów.

W Monte Carlo odbywa się kongres Wielkiego Traktatu Narodów, na którym zaproponowano zaprosić Amerykę do udziału w pracach. Agent Stanów Zjednoczonych, Grant Slattery, rozpoczyna na terenie amerykańskim walkę z wysłannikiem Niemiec, Korneljuszem Blunnem, który wespół z delegatem Japonji, hrabią Itashem, stara się urobić opinję amerykańską constra Kongresowi. Tancerka Cleo, dawna kochanka hrabiego Itasha, postanawia zemścić się za porzucenie jej i wyjawia częściowo Grantowi politykę Japonji i Niemiec. Cleo zostaje aresztowana pod zarzutem usiłowania morderstwa na Yvonnie, obecnej przyjaciółce Japończyka. Grant Slattery udaje się do więzienia, chcąc ją ratować. Dowiaduje się, że już została wypuszczona. Wkrótce otrzymuje wiadomość, że została podstępnie zamordowana.

Jeśli Itash poczuł coś w tej chwili, to w każdym razie umiał to starannie ukryć. Pogładził ręką swe starannie uczesane włosy i dał znak swej towarzyszce, by się do nich nie zbliżała.

— To bardzo przykra wiadomość — skłonił się w stronę Granta. — Ta młoda dziewczyna znajdowała się ostatnio w stanie silnej depresji. Może to samobójstwo?

— Nic podobnego — odpowiedział Grant. — Istnieją wszelkie poszlaki morderstwa.

Itash po raz pierwszy prawdopodobnie w swem życiu, ujawnił wzruszenie. Oczy jego nabrały blasku, przygryzł wargi zębami.

— To straszne. U nas, w Japonji, nie wzruszamy się zbytnio samobójstwem. Rozstajemy się z życiem, kiedy staje się dla nas męczące. Lecz morderstwo, to rzecz okropna. Któż w tym kraju mógł zgładzić ze świata biedną Cleo? Nie miała pieniędzy, nawet nie posiadała biżuterji.

— Może posiadała coś kosztowniejszego? — zauważył Grant.

— O nie. Wiem, co ma pan na myśli. Myliła się, przypuszczając, że dowiedziała się czegoś ode mnie. Ojczyzna moja nie posiada wielkich tajemnic. Bardzo mnie zmartwiły pańskie wiadomości, panie Slattery.

— Czy pan się wybiera na dancing? — pytał Grant.

— Tak jest — odparł Itash, podając ramię swej towarzyszce. — Panna Yvonne święci dzisiaj swe pożegnanie z New Yorkiem. Wołają ją do Paryża i jutro wyjeżdża.

Grant przyglądał się przez chwilę wchodzącej do sali restauracyjnej parze. Ogarnął go dziwny niesmak, którego podłożem było uczucie gniewu i wściekłości. W wyobraźni swojej widział biedną, małą Cleo, opuszczającą areszt i samotną w nędznym pokoiku, który miał być jej grobem. Była jeszcze tak młoda i kochała tego łotra Itasha. Leżała tam jeszcze na swem śmiertelnem łożu, nakryta prześcieradłem, a jej kochanek tańczył. Grant zacisnął pięści i poszedł do siebie. Nazajutrz pojawiła się w gazetach krótka notatka: Samobójstwo francuskiej tancerki.

ROZDZIAŁ XXXVII.

Upłynęły już trzy dni od chwili, gdy Grant rozstał się z Hudsonem, który nie dawał o sobie znaku życia. Około siódmej wieczorem zjawił się niespodzianie i poprosił o cocktail.

— Jestem rad, że przypomniał pan sobie o mnie — powitał go Grant. — Chciałem dowiedzieć się od pana wielu rzeczy.

Hudson potakiwał głową w zamyśleniu:

— Stoimy w przededniu wielkich wydarzeń. Pana podejrzenia sprawdziły się co do joty. Czy mógłby pan jutro odpłynąć do Anglji?

— Do Anglji?! Ale przecie kongres ograniczenia zbrojeń odbędzie się u nas już za dwa tygodnie! — zawołał Grant, zdumiony propozycją.

— Będzie pan już wtedy z powrotem — zapewnił go Hudson. — Chciałbym, żeby pan zdążył jeszcze na „Katalonję", która odpływa jutro rano o ósmej. Jutro jest sobota, będzie pan w Plymouth w środę rano, a wieczorem już w Londynie. Lord Yeovil będzie już pana oczekiwał. Może pan wyjechać z powrotem w sobotę na „Sefalanji". Prawdopodobnie wróci pan z lordem Yeovilem i jego sztabem.

— A cóż ja mam robić w Londynie? — pytał Grant, odsuwając szereg natrętnych myśli.

— Oddać telegramy z Waszyngtonu — brzmiała krótka odpowiedź. — Mam je już u siebie, w kieszeni. Przyjeżdżam właśnie stamtąd. Gdzie będzie pan jadł obiad?

— Gdziekolwiek, z panem, pułkowniku. Zwykle jadam w klubie ze Stonehamem.

— Jestem bardzo zmęczony — wyznał. — Radbym usłyszeć trochę muzyki i popatrzeć na ładne kobiety. Pójdę tylko się przebrać i za pół godziny wstąpię po pana. Wybierzemy sobie jakiś przyjemny kącik w Sherry. Jako zbawcy wielkich mocarstw, możemy sobie pozwolić na ostrygi i szampan.

Grant pozostał sam ze swemi natrętnemi myślami. Wydał kilka dyspozycyj swemu kamerdynerowi, porozumiał się telefonicznie z linją okrętową i pogrążył się w zadumie. Za kilka dni miał się zobaczyć z lordem Yeovil, a może i z Zuzanną! Jakże go przyjmą, czy zechcą z nim wogóle rozmawiać poza ściśle oficjalną wizytą? Przecież jego przymusowa sytuacja, w której znalazł się na swym jachcie, dała asumpt do wielu plotek i oszczerstw. Sytuacja jego zdawała się być beznadziejną. A jednak... jednak nie umiałby wyrzucić z serca Zuzanny. W jakiż sposób jej się wyrzec? Nie było w jego duszy ni źdźbła uczucia dla innej kobiety.

Niewesołe te rozmyślania przerwał Hudson, już wyświeżony, w pięknie skrojonym fraku. Udali się natychmiast na obiad, gdyż pułkownikowi śpieszno było do ostryg i szampana. Jedli tego wieczoru jak wyrafinowani smakosze.

— Prawdę powiedziawszy — rzekł Hudson, sącząc wino z kieliszka — nie miałem od dwuch dni prawie nic w ustach. Pełno łotrzyków było w pociągach. Czuję się zawsze pewniejszy w miastach.

— Co ma pan na myśli, pułkowniku?

— To bardzo proste. Ta sama banda, która osaczyła biedną Cleo i zgładziła ją ze świata, czatowała i na mnie. Ale ludzie Poyntera są naprawdę niezwykli. Dwuch siedzi tu w naszem sąsiedztwie. Dobrze wyglądają, prawda?

— Zupełnie jak kupcy, którzy rozmawiają o swych interesach — zauważył Grant.

— To dwaj najprzebieglejsi detektywi Poyntera. Mają kule w kieszeni i pilnują nas. Trzeci jest w kuchni i dogląda potraw, które nam podają. Nie mogłem nic jeść w pociągu restauracyjnym, gdyż wiedziałem, że w kuchni są szpiedzy, którzy chętnie włożyliby jakąś trutkę do potraw. Dwa razy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin strzelano do mnie. Propaganda robi szalone postępy i Biały Dom jest już należycie poinformowany. Chodzi obecnie o to, aby nie zniechęcił lorda Yeovila i zachował go dla naszej polityki. Wiedzą w Waszyngtonie o jego życzliwym dla pana stosunku. Dlatego właśnie deleguje się pana, rozumiecie, Slattery?

— Postaram się użyć wszelkich argumentów — odparł Grant.

— Oho, popatrz pan, jeszcze jedna uczta pożegnalna?

— Jaka? — zapytał Grant, rozglądając się dokoła.

— Nie zdążyłem tego jeszcze panu powiedzieć. Korneljusz Blunn udaje się jutro również w podróż do Londynu.

— A na cóż, u djabła?

— Lepsze odemnie głowy już się nad tem biedziły. Moje przypuszczenie jest następujące: chce ponownie zdezorjentować New York i wzbudzić do siebie zaufanie. W Londynie wydają bankiet niemieccy bankierzy i on ma tam prezydować. Chce nam poprostu zamydlić oczy. Wróci pewnie także razem z panem.

— Ciekaw jestem, czy zabierze w drogę tę tajemniczą szkatułkę?

Hudson wzruszył ramionami.

— Zrobiłem szalony błąd, że nie przybyłem do New Yorku wcześniej. Te wyszeptane w ostatniej chwili słowa dziewczyny, ta tajemnicza cyfra, którą zdążyła szepnąć panu do ucha, to zdaje się była integralna część tego, co chciała powiedzieć. Jestem pewny, że to klucz do wielkiego spisku, który staramy się wykryć. W tej tajemniczej szkatułce Blunna znajdują się oprócz listu jego nieboszczyka ojca, napewno dokumenty polityczne. Gotów jestem założyć się o moje życie, że tak jest.

Grant potakiwał głową:

— I jabym zaryzykował to samo.

— Widzi pan, Slattery, kogo on tu będzie ugaszczał? Dwuch panów z towarzystw stalowych, Pottingera, nominalnego właściciela dziennika New-York i doktora Forbes'a, wielkiego żydowskiego pedagoga. O ileby doszło teraz między wami do rozmowy, niech pan mu nic nie wspomina o jutrzejszej podróży. „Katalonja" poczeka na pana kwadrans i spuszczą dla pana specjalnie pomost. Blunn może poczynić jakieś kroki, aby nie dostał się pan na czas na okręt, dlatego wolałem ich uprzedzić. Teraz nas ujrzał. Zrób pan przyjemny wyraz twarzy, panie Slattery. Jakże on się musi wściekać, że nas tu widzi razem. Oho! Cóż za zaszczyt! Zbliża się do nas!

Blunn podniósł się z miejsca i przeprosił swych współbiesiadników. Podszedł do Granta i uścisnął jego dłoń. W kilku uprzejmych słowach przypomniał Hudsonowi, że znają się z Waszyngtonu.

— Wydaję tu skromną ucztę pożegnalną — wyjaśniał, gdyż w ostatniej chwili zgodziłem się na zaproszenie do Londynu.

— Zdaje mi się, że kiedyś wspominał mi pan, że niechętnie i bardzo rzadko wyjeżdża pan do Anglji — zauważył Grant.

— Pan ma świetną pamięć, panie Slattery — odpowiedział Blunn. — Prawdę powiedziawszy, robię to raczej z obowiązku, niż dla przyjemności. Wszystkim wiadomo doskonale, jak ojciec mój nienawidził Anglików. Odziedziczyłem to po nim w nieco łagodniejszej formie. Lecz w tych czasach ustabilizowanego pokoju, trzeba umieć się wznieść ponad instynkty. Wydają tam bankiet nasi bankierzy i napierali gwałtownie, abym przyjechał.

— Pana obecność będzie miała bezsprzecznie wielkie znaczenie. Lecz przy okazji, czy wraca pan do Stanów?

— Nie jestem tego pewien. Coprawda, mój przyjaciel, Lutrecht, który będzie nas reprezentował na Konferencji Rozbrojeń, domaga się mej obecności, lecz z drugiej strony, bardzo pilne interesy wołają mnie do Niemiec. Chciałem tylko powiedzieć panom: dowidzenia. Coprawda, pan Slattery i ja, jesteśmy obywatelami świata i możemy gdziekolwiek spotkać się wkrótce.

Odszedł, skłoniwszy się uprzejmie. Hudson i Grant uśmiechnęli się porozumiewawczo.

ROZDZIAŁ XXXVIII.

Nieuniknione spotkanie Granta z Blunnem na pokładzie „Katalanji" miało w sobie dużo komizmu. Kiedy nazajutrz po wyruszeniu z portu przechadzał się po okręcie, usłyszał stukanie do oszklonych drzwi jednego ze wspaniałych luksusowych apartamentów, z których słynęła „Katalonja". Zajrzał do wnętrza i ujrzał Blunna, owiniętego pledem, z butelką gorącej wody przy nogach i służącym u wezgłowia. „Napoleon przemysłu i dyplomacji" blady i bezradny dawał mu znak, aby wszedł do środka. Grant popchnął oszklone drzwi i stanął przed Blunnem.

— A więc i pan jest tutaj, drogi przyjacielu — przemówił Blunn słabym głosem. — Jestem chory, jak pan widzi, naskutek mego nadmiernego na okręcie apetytu. Nie jestem pewny, czy żywy zajadę do Southampton.

— Mam nadzieję, że tak źle nie będzie — odparł Grant z współczującym uśmiechem.

— Właśnie obawiam się, że jednak nie umrę. Niech pan teraz wyjdzie, bo już chwytają mnie torsje. Chciałem się upewnić, że nie widzę duchów. Ach! Gdyby to był pana jacht!

Grant szepnął jakieś uprzejme słowo i wyszedł. Lecz widocznie dzień ten musiał być pełen niespodzianek dla Granta. Gdy uszedł parę kroków, natknął się oko w oko na... Gertrudę von Dirs.

Jego pierwszy odruch był czysto konwencjonalny. Podszedł, aby pomóc jej nieść pled, który z trudem dźwigała. Za nią szła pokojówka z poduszkami, płaszczem i t. p.

— Gertrudo! — zawołał, zarzucając pled na ręce. — Gdzież pani była i skąd pani przychodzi?

— Wychodzę właśnie z numeru osiemdziesiątego czwartego i chcę położyć się na pokładzie. Idę właśnie w kierunku mojego leżaka i niech pan pomoże mi się położyć, jak na przyzwoitego towarzysza podróży przystoi.

(d. c. n.)

PRZEGLĄD FILMOWY

„Wesele w Hollywood". „Śpiewak Montparnasu". „Romans kobiety". „Podcięte skrzydła".

„Wesele w Hollywood" — film grany w Filharmonji, jest miłą i sympatyczną operetką filmową, której rozmaite naiwności (jak zdetronizowany następca tronu, pełniący następnie funkcje palacza, karjera śpiewaczki kabaretowej i t. p.) nie rażą, a przeciwnie, bawią, ponieważ ujęcie ich jest rozmyślnie groteskowe i nie posiada ambicji, przekraczających wymagania operetki. Muzyka lekka, melodyjna, dobrze zastosowana w akcji. Jednem słowem, całość bezpretensjonalna i przyjemna.

Owa naiwność, będąca w „Weselu w Hollywood" pewnym rozmyślnym wdziękiem, drażni i nuży, w filmie granym w „Palace" p. t. „Śpiewak Montparnasu". Całość przypomina mniej więcej, niedawno grany u nas, film z Chevalierem, bez największej jednak jego atrakcji, to jest samego Chevaliera, którego osobisty urok pozwalał znosić bezsens i nonszolancję treści. W filmie „Śpiewak Montparnasu" owa nonszolancja w stosunku do treści, owa naiwność, która przechodzi poprostu w głupotę, przekracza wszelkie granice. Aktorzy słabi, technika gry, reżyserji i zdjęć, z przed lat, co razi tem więcej, że jednocześnie stosuje się najnowszą technikę filmu mówionego.

Brakiem treści odznacza się również film „Romans kobiety" (Atlantic), w którym przeżywamy tyle już razy widziany, flirt szefa z pracownicą. Mimo to, film jest dosyć zajmujący i sympatyczny dzięki temperamentowi i urokowi Colnee Moor. Najlepsze w programie są dodatki, aktualności zagraniczne. Polski nadprogram dźwiękowy, aczkolwiek dobrze synchronizowany, posiada bardzo słabe zdjęcia. Ten sam brak logiki w treści uderza w filmie „Podcięte skrzydła" (Pola Negri Palace). Trudno uwierzyć, aby podczas napadu Zeppelina na Londyn, miasto broniło się tylko jednym, przypadkowym, amatorskim samolotem myśliwskim. Braki treści jednak pokrywają świetne zdjęcia powietrzne, sceny rzucania bomby i t. p. Synchronizacja filmu mocna i odpowiednia w chwilach grozy, w całości męczy trochę.

O TYCH, KTÓRZY NAS BAWIĄ

(Dalszy ciąg ze str. 18-ej)

narkotyczne, które, podawane wraz z żywnością, osłabiały i otępiały wolę zwierzęcia. Jakżeż śmiesznie wypadło święte oburzenie jednego z pism niemieckich, które rozpoczęła kampanję przeciwko znanemu pogromcy zwierząt, Ryszardowi Lewade, za jego okrucieństwo w stosunku do zwierząt. Lewade bowiem, by móc rozpoznać lwy na arenie, malował im uprzednio na czołach różnokolorowe punkty. Lew naznaczony kolorem czerwonym stał się właśnie przedmiotem napaści prasy. Mianowicie farba zaczęła ściekać z czoła, znacząc szeroką czerwoną brózdę przez pysk zwierzęcia.

Prawda, że chcąc nauczyć stworzenie pewnych sztuk, nie można tego dokonać łagodnością. Argument, w postaci dotkliwego bicza, jest najbardziej zrozumiałym dla mózgu zwierzęcego. Jednakże zwierzęta, z któremi się produkują u nas pogromcy, to przeważnie stworzenia urodzone w niewoli, które niemal „od pieluszek", znając swego pana, nauczyły się niewymyślnych „sztuk", tak fascynujących publiczność cyrkową. Nauka ta nie jest trudna i tak straszna, jeżeli uwzględnimy ważny czynnik — inteligencję.

A przecież nie możemy odmówić zwierzętom ich swoistej inteligencji.

(h. k.)

ZA KULISAMI POKOJU I WOJNY

(Dalszy ciąg ze str. 8-ej)

i niemieckich, dostarczających mu pierwszorzędnej wagi odkumentów. Działania szpiegowskie sztabu rosyjskiego natrafiały w tym okresie na podatny grunt w Galicji a to dzięki temu, że cała uwaga wydziału wywiadowczego austrjackiego była skierowana na półwysep Bałkański i Włochy. Ruchy wolnościowe w Bośni i Hercegowinie, oraz wreszcie w małem Czarnogórzu, oraz szowinistyczna polityka Italji w kierunku Tryjestu, zmuszały władze wojskowe austrjackie do wytężenia sił swych najlepszych szpiegów w odmiennym od Rosji kierunku. To też wywiad rosyjski odnosi w tym czasie prawdziwe tryumfy. Pułkownik Batiuszkin, nagromadził tak wielkie archiwa wiadomości z terenu austrjackiego, że, jak sam się kiedyś wyraził, mógłby skutecznie dowodzić armją austrjacką od Zbrucza aż po Pragę Czeską.

Jeżeli sobie uprzytomnimy, że wojnę przygotowuje się podczas pokoju, to łatwo zrozumiemy sukcesy wojsk rosyjskich w pierwszym okresie wojny europejskiej i jej zwycięzki pochód wgłąb Austrji. Sztaby rosyjskie, rozporządzające tajnemi rozkazami armji austrjackiej, paraliżowały zgóry wszelkie działania wojsk niepzyjacielskich, mało tego, ubiegały je, zadając klęskę za klęską. Pułkownik Batiuszkin spełnił swe zadanie celująco, dał w rękę dowództwa rosyjskiego miecz, który wykuli Austrjacy sami na siebie.

(D. c. n.)

Widok pałacu i parku w Rozalinie pod Warszawą



Dzięki dogodnej komunikacji autobusowej, w ciągu godziny jazdy szosą tomaszowską z Al. Jerozolimskiej, przenosimy się do Rozalina, wysiadłszy z autobusu w Siestrzeni, skąd boczna droga przez las prowadzi na miejsce. Rozalin, do niedawna siedziba ks. Radziwiłłów, jest jedną z piękniejszych rezydencyj pod Warszawą. Łączy się z nią wspomnienie pierwszej jego właścicielki, Róży z ks. Sapiehów ks. Lubomirskiej, zmarłej tragiczną śmiercią w Paryżu jako ofiara wielkiej rewolucji w końcu XVIII wieku. Z pałacem, budowanym w stylu włoskiego renesansu przez Marconiego w r. 1887, ze wspaniałym parkiem, w którym niebotyczne świerki przeglądają się w taflach stawów, — Rozalin jest prawdziwym klejnocikiem, którego urok podwyższa otoczenie lasów sosnowych. Nic też dziwnego, że Rozalin był brany poważnie pod uwagę, gdy niedawno zastanawiano się nad wyborem letniej rezydencji dla Prezydenta Rzeczypospolitej.

Tradycyjna w Rozalinie hodowla róż i obecnie stoi na wysokim poziomie. Pewną osobliwością są wielkie drzewa pomarańczowe, okryte kwieciem.

Obecny zarząd Rozalina (poczta Nadarzyn) przyjmuje na miesiące letnie gości z całodziennem utrzymaniem. Idealne warunki pobytu sprowadzają z roku na rok coraz więcej zwolenników do tego miłego zakątka.

Informacji udziela zarząd majątku Rozalin, poczta Nadarzyn.

Abisynja, polowanie i samolot

Do dziedziny upodobań ludzkich, które nie podległy żadnym zmianom od początków istnienia człowieka, należy bezwarunkowo polowanie. Przewija się ono zawsze i wszędzie — przez cały, znany nam, ciąg historji ludzkości i sięga do najdawniejszych jej mroków. Instynkt polowania, a więc instynkt walki z podniętą zwycięstwa — to najsilniejszy może pierwiastek natury ludzkiej, to też nic dziwnego, że wyprawy myśliwskie stanowiły od wieków i stanowić będą zawsze jedną z największych podniet roskoszy życia.

Instynkt ludzki nie uległ więc żadnej zmianie — zmieniły się tylko i zmieniają w dalszym ciągu sposoby polowania oraz rodzaj lokomocji dla wypraw myśliwskich.

Znamy wszyscy z dziecinnych lat owe opisy awanturniczych książek Mayne-Rieda i innych, w których to konne lub piesze karawanny myśliwskie przebywały miesiące całe w drodze, by się dostać do jakiej przyzwoitej puszczy, lub pasma gór niedostępnych, chroniące całe zastępy dzikiego zwierza o wspaniałych futrach.

W czasach przedostatnich urok tych wypraw zmatowiał nieco, z powodu rozpowszechnienia się kolei żelaznych, bo trudno dopatrzeć się specjalnego czaru w tem, że człowiek włazi wraz z mauzerem i zapasem nabojów do solidnie zbudowanego wagonu kolejowego, którego koła toczą się dopóty, dopóki nie zawiozą go gdzieś do Kanady, Połudn. Ameryki lub na wschodni brzeg Afryki — do Abisynji. Właśnie o niej, t. j. o Abisynji, mówić będę, a to dla tego, że jest to idealny kraj dla polowań na drapieżnego zwierza, o pięknem, puszystem, centkowanem, tak modnem dzisiaj, futrze (pantery, jaguary, dzikie koty), a powtóre — dla tego, że właśnie Abisynja i jej stolica Adis-Abbeba, okolona górami, obfitującemi w wyżej wymienioną zwierzynę, zachęciły niedawno dwuch lotników francuskich, p.p. Rabatel i Massot, do udania się tam na łowy.

Tylko, ponieważ obaj lotnicy są starymi pilotami — asami wojny europejskiej, a instynkt lotniczy jest tak samo zakorzeniony w człowieku, jak instynkt myśliwski, jakąż inną drogą, jeśli nie drogą powietrzną, mogli się tam udać?

Nowe czasy — nowi ludzie! P. Rabatel, który napewno mógłby mieć do swego użytku jakiego Rolls-Royce'a, wolał nabyć luksusową limuzynę powietrzną, Farmana typu 190. Byłam w niej w środku — ach, co za cudo! Każdy szczegół obmyślony i obliczony na maximum wygody: przestronno, widno, elastycznie (wszędzie pneumatyczne poduszki). Kształt zewnętrzny maszyny wysmukły, wydłużony, z eleganckim, błyszczącym szpicem oprofilowania piasty. Jedno skrzydło formy elipsoidalnej, przymocowane do kadłuba 4 zastrzałami z podpórkami (stanowczo Francuzi nie popierają typu skrzydła wolnoniosącego).

A teraz — silnik. O ile sama maszyna jest już tylko jedną z „typu", silnik jej jest, zdaje się, za to „prototypem". Jest to 250 konny, 6 cylindrowy, chłodzony wodą, jednorzędowy, Hispano-Suiza, — a według słów p. Massot — poprostu połowa słynnego dwublokowego, 500-konnego motoru tejże firmy. Ponieważ Francuzi wiedzieli napewno o 600-godzinnym rajdzie zaplombowanego silnika de Havilland Gipsy — spróbowali i oni podobnej próby, nieco krótszej, coprawda, bo wynoszącej 140 godzin lotu, ale za to w warunkach dość podłych, bo na przeróżnych wysokościach. Zwłaszcza starty w Adis-Abbebie odznaczały się pięknym wyczynem ich silnika, zmuszonego do pracy w rozrzedzonem powietrzu (Addis-Abbeba położona jest na 2500 metrach wysokości, a góry Abisyńskie mają 4500 m.), z dużem obciążeniem 10 kg. na konia mech. Otóż Hispano-Suiza „kręcił", pomimo wszystkie przeciwności losu, cudownie. Kręcił, chociaż miał zaplombowany (a może właśnie dlatego?) dostęp do gazników (ma ich aż 3), do magneta, do głowic cylindrów... Kręcił — niczem nasz operator filmowy „Pata, p. Czałczyński, nad górami abisyńskiemi, nad pustynią libijską, nad Atenami, Sofją, Belgradem, Bukaresztem... Aż do Warszawy, gdzie „dokręcił" swoje 20 tysięcy kilometrów *bez odkapowania maski silnika.*

Wyznajemy, iż było nam rzetelnie przyjemnie uścisnąć niewielką, lecz dzielną dłoń p. Massot, wyłażącego ze swego „Poste de pilotage'u", a którego mieliśmy okazję poznać przed trzema laty.

„Jakżeż tam Abisynja i jej lotnictwo, kochany Panie?"

„...Abisynja? Bardzo miła! Mieszkańcy chodzą otuleni w starożytne „peplum"—klimat w Adis-Abbebie cudowny. Władca abisyński posiada 3 Potezy, któremi poskromił przed paroma tygodniami zbrojną rewoltę tubylców. Mężczyźni—piękni, ale kobiety...

Kobiety — stanowczo, stanowczo za mało paryskie!"

Trzcińska-Kosterbina.



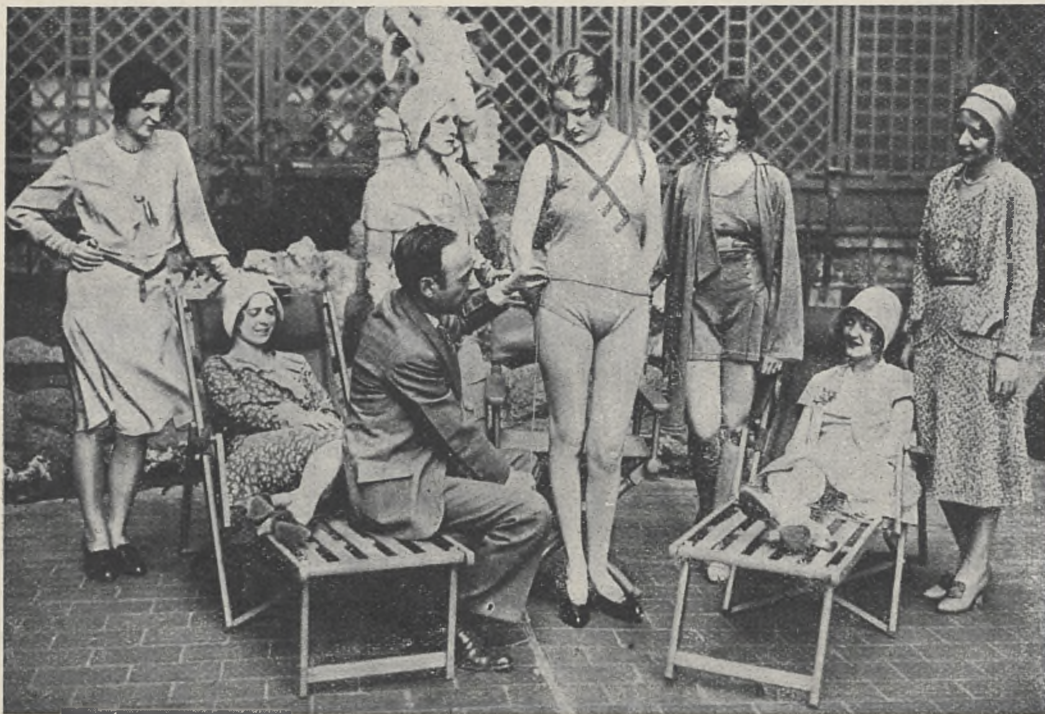
Uczestnicy rajdu do Abisynji: (pierwszy z prawej) Rabatel, (trzeci) Massot.







TO, TAMTO I OWO



Najpiękniejszą modelką Ameryki została 17-letnia miss Jean Drummond. Oto laureatka przed jury.

TRZECI SZLAK...

O ileby ktoś z nas zdołał dotrzeć do map mórz i oceanów, pilnie strzeżonych w tajnych schowkach admiralicji brytyjskiej, to ze zdziwieniem ujrzałby siatkę niezrozumiałych wykresów i znaków, pokrywających puste przestrzenie wód. Linje te, wybiegające z portów wojennych metropolji, przecinają wszystkie morza, obmywające kolonje angielskie, oraz zbiegające się całemi wiązkami w bazach operacyjnych, rozsianych po całym świecie. Są to plany strategiczne eskadr angielskich, oraz kierunki natarcia i obrony zagrożonych kolonij podczas wojny. Tajemnicze owe linje, przechodzące przez tajne składy paliwa, amunicji i prowiantów, zostały nazwane „linjami roszady". Jednakże, w ostatnich latach, linje roszady, ciążące głównie ku śpichlerzowi gospodarczemu Wielkobrytanji, Indjom, oraz Wschodowi Azji, zyskały poważnego sprzymierzeńca w lotnictwie. Lotnictwo, wyzyskane dla celów strategicznej komunikacji z Indjami, zostało nazwane „trzecim szlakiem". A szlak ten jest faktycznie silną bronią w ręku chytrego i przedsiębiorczego Anglika. Przechodzi on przez dwa punkty zaopatrzenia, Kair i Bassrę, i wiedzie ponad bezwodnemi i mało zaludnionemi obszarami, które jednak, pomimo swej pozornej martwoty, były i są siedliskiem nieustannych powstań, walk ... wędrówek narodów. Trzeci szlak, to wiecznie czujne i niestrudzone oko, które bezustannie rekognoskuje ten napoły pustynny, napoły górzysty kraj. Szybkość wywiadów i głębokich rajdów wgłąb „niepodległych" państw arabskich daje rękojmię utrzymania w garści, niespokojnego elementu nowych sprzymierzeńców. Doprawdy, twierdzą Anglicy, jest rzeczą całkiem niezłą, gdy najbardziej pokojowe stosunki dyplomatyczne na ziemi, znajdują podporę w krążących w powietrzu samolotach.

„Trzeci szlak" czuwa, gotów w każdej chwili zesłać ludziom na ziemię miast manny, deszcz bomb.

SZYBKOŚĆ OBIEGU KRWI

Amerykańskim lekarzom H. L. Blumgartowi, G. B. Robbowi i G. Weissowi udało się, za pomocą własnej metody, obliczyć szybkość obiegu krwi u człowieka. Obliczyli oni czas, zużyty przez ciałko krwi od chwili wypłynięcia z żyły do serca, a stamtąd do cebulki włosowej. Użyli do tego specjalnie przygotowanej substancji, która, umieszczona wewnątrz żyły, zaznaczała tam swoją obecność ledwo dostrzegalnem, obcem zabarwieniem. Następnie poniżej miejsca z umieszczoną substancją, wstrzykiwali przy pomocy szpryczki, histaminę (wyciąg ze sporyszu). Po 23 sekundach powierzchnia substancji przybierała kolor purpurowy. Był to czas, zużyty na obieg histaminy, wraz z ciałkami krwi, dokoła organizmu.

TRUJĄCE JABŁKA.

Każdy prawie przypomina sobie bajkę, słyszaną setki razy, w swych dziecinnych latach, o złej macosze, która, chcąc się pozbyć znienawidzonej pasierbicy, dawała jej do zjedzenia zatrute jabłko. Niewiadomo kiedy i przez kogo została ta bajka stworzona, w każdym bądź razie twórca jej musiał się znać na chemji i baśń swą wysnuł na podstawie danych naukowych. Mianowicie, chemicy angielscy odkryli niedawno, że każde jabłko zawiera w sobie niewielką ilość arszeniku. Mniej więcej z 1 kg. jabłek można wydobyć za pomocą analizy około 4 mg. arszeniku. Jest to dość duża ilość tej groźnej trucizny, jednakże niewystarczająca, ażeby miała wpłynąć szkodliwie na organizm ludzki.

Ale jednak... radzę być ostrożnym i nie zjadać na jednem posiedzeniu więcej jak 5 kg. jabłek.

Wśród książek

Rodion Markovits. — Syberyjski Garnizon.—Przekład Dr. J. P. Zajączkowskiego.—2 tomy.—Warszawa 1930. — Tow. Wyd. „Rój".

Literatura wojenna stała się modną. Piszą o tej wojnie wszędzie i wszyscy, wywołują rozmaite nastroje i wrażenia, i najrozmaitszemi drogami dążą do różnych celów. Przeważa nastrój zasadniczo antiwojenny i bodaj wszyscy godzą się już na to, że wojna była najstraszliwszem nieszczęściem, którego ludzkość w przyszłości za wszelką cenę winna unikać, i że organizacja wojskowa wogóle ma w sobie tyle okrucieństwa i niesprawiedliwości, że również nie powinna istnieć. Ta reakcja antiwojenna i antiwojskowa, u nas, którzyśmy wolność dzięki wojnie odzyskali, nie budzi prawie żadnego oddźwięku, a wszędzie gdzieindziej zaczyna budzić równie silną reakcję, że wspomnimy choćby ustosunkowanie się wojskowych kół niemieckich i nacjonalistycznych do dzieła Remarque'a.

„Syberyjski Garnizon" jest także opowieścią wojenną, opowieścią zupełnie oryginalną, bardzo smutną i bardzo niepokojącą. Szary człowiek jest bohaterem tej dziwnej opowieści, szarzy otaczają go ludzie, i nietylko szarzy, ale i bardzo mali, bardzo nędzni, bardzo biedni, częstokroć poprostu podli. Jakby na tych kartach zagasło wszelkie bohaterstwo, wszelka światłość, wszelki pęd ku sławie i jakimś wogóle wyższym wartościom. Beznadziejność i zwątpienie ogarnia nas po przeczytaniu tej książeczki. Pytamy: więc jest aż tak źle? i to ma być prawda?

Markovits napisał swą książkę nietylko z talentem, ale i z zupełnem opanowaniem materjału i celu. Pewne nużące rozwlekłości sowicie wynagradza ustępami, od których oderwać się trudno. A jednak ta „naga prawda", okrutna, bolesna i rażąca, w tej książce zamknięta, nie wydaje nam się, na szczęście, prawdą zupełną i bezwzględną. Jest przesadzona. Autor zmusił nas do patrzenia przez czarne szkła pesymizmu. Ulegamy mu, bo przemawia z siłą, bo ma talent, — lecz, rzecz rozważywszy, nie dowierzamy mu, nie uznajemy jego prawdy bez poważnych zastrzeżeń. Mówimy sobie: no, tak, ale obok tych głupich, niemal idjotycznych oficerów, obok tych szarych, beznadziejnie małych ludzi, istnieli ludzie inni! Obok codziennych spraw żołądka i tchórzostwa działy się inne sprawy, — sprawy wielkie i niezapomniane! I o nich także istnieje prawda, i opowieść tej prawdzie poświęcona pojawi się kiedyś i wstrząśnie sumieniem ludzkości.

Wiktor Przecławski.

Odmładzanie naskórka

Uwielbienie dla piękna kobiety wypowiada się w kulcie jej *duchowych właściwości kobiecych*, tudzież harmonji cech *prawidłowej cery.* Rzadko atoli napotyka się dziś na całokształt zalet normalnej cery, a przyczyna smutnego tego objawu tkwi przeważnie w nieracjonalnym doborze i niestosownem zastosowaniu preparatów kosmetycznych do *zapobiegawczego* pielęgnowania urody. Wszak prawidłowa cera nie wymaga ani ożywiania, ani też odtłuszczania, lecz wyłącznie zapobiegania *twardnieniu naskórka,* celem odsłaniania soczystej, młodocianej warstwy komórek. Zimna woda sprzyja twardnieniu naskórka, również słońce, gliceryna, wazelina, pudry metaliczne oraz kremy z zawartością nadmiaru wody przyśpieszają marszczenie się skóry, zwłaszcza ostatnie, jako podkład pod puder stosowane. Myć należy przeto gorącą wodą i otrąbkami *migdałowemi* D-ra Lustra, po powleczeniu twarzy na 10 minut przed umyciem — *kremem „Mira"* D-ra Lustra. Do stałego zmiękczania naskórka nadaje się znakomicie: puder *egzotyczny* D-ra Lustra.

Dr. Z. B.

Opera geometryczna



Opera geometryczna. Niemiecki Drabik, Artur Honergars z Darmsztadtu, inscenizuje „Judytę i Holofernesa" („Lohengrin")

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE i WILNIE
Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. wraz z przesyłką Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Chmielna 35.
Telefony 525-85 i 99-03. Konto P. K. O. 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy.
Klisze ogłoszeniowe, zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty, są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe.
Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Kierownictwo. BOLESŁAW KARNISZYN. Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 117-98 i 504-46.